

6

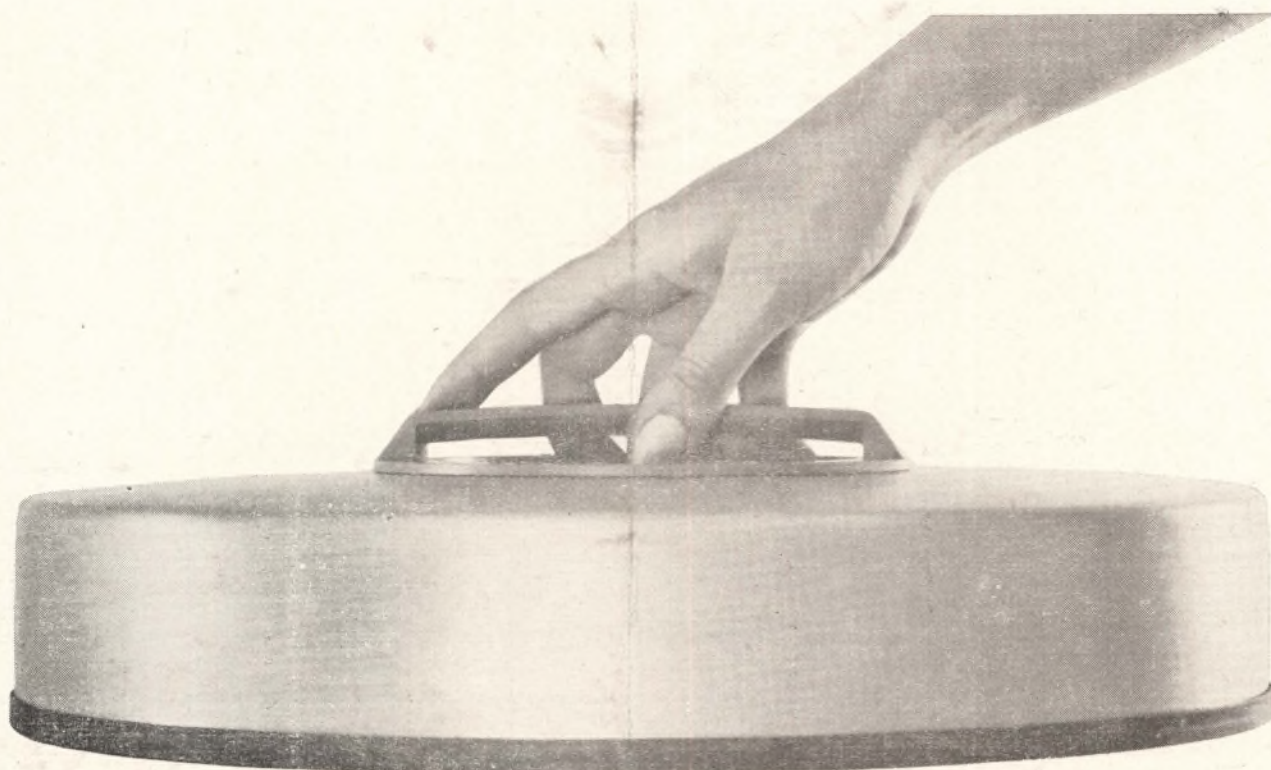
FOLHA POLONÊSA

PRZEGŁAD POLSKI

REVISTA
POLONÊSA

Ano IV Julho 1963

31



EQUIVALENTE A 25.000 CARTÕES PERFURADOS



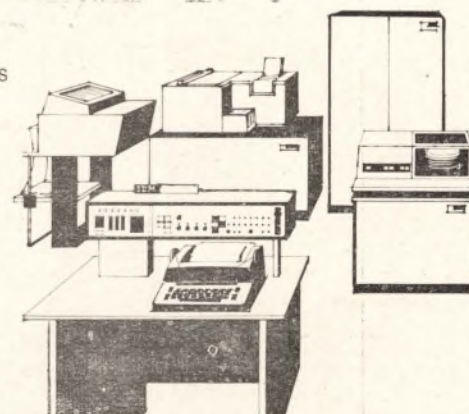
Isto é uma memória removível de discos.

Tem o volume de uma pequena pilha de discos de vitrola, mas é equivalente a 25.000 cartões perfurados, com capacidade de armazenar até 2.980.000 caracteres de informação.

A memória removível de discos foi lançada com o **NÔVO IBM 1440**, um computador de baixo custo, ao alcance das indústrias de pequeno porte... Realiza a mesma tarefa básica dos grandes computadores e dá respostas administrativas em questão de segundos.

Pesando menos de cinco quilos e contendo, cada uma, seis discos magnéticos, as memórias do **NÔVO IBM 1440** são intercambiáveis e podem ser trocadas facilmente, em apenas 50 segundos. Isto significa armazenamento ilimitado de informações.

Será o **NÔVO IBM 1440** o seu primeiro computador?
É muito provável que sim.

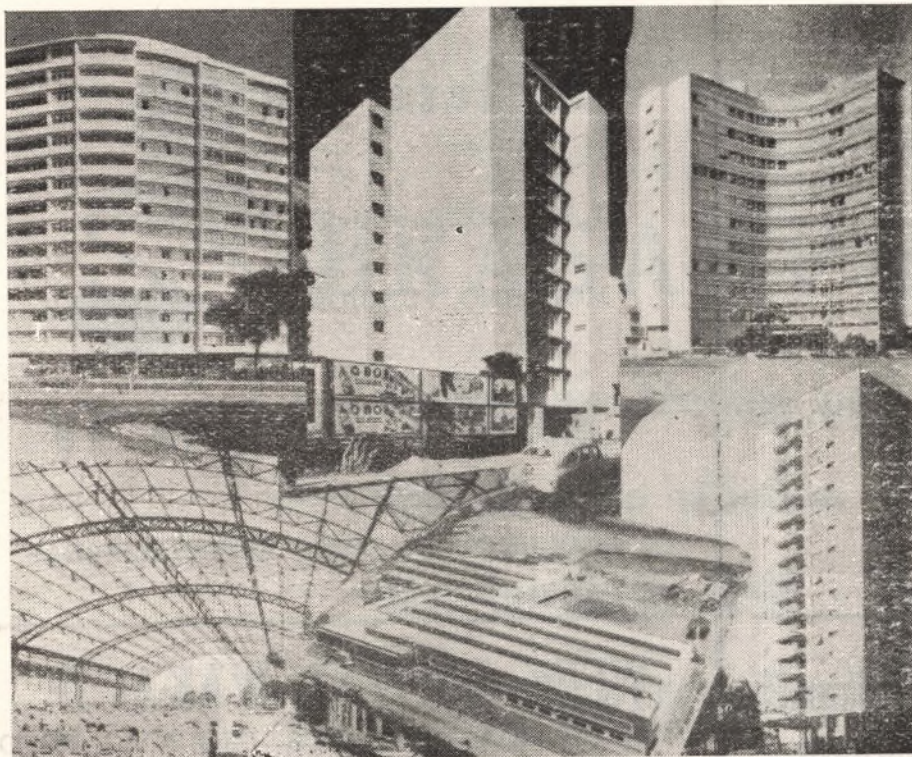


IBM 1440
IBM DO BRASIL LTDA.

RIO DE JANEIRO: Av. Rio Branco, 80 - 6.º and. - Tel. 23-8566

SÃO PAULO: Avenida São Luiz, 86 - Telefone 32-5167

FILIAIS: Belém - Belo Horizonte - Brasília - Curitiba - Fortaleza - Niterói - Porto Alegre - Recife - Salvador - Santos



Organização completa de
construções e projetos
de edifícios
industriais,
residenciais
e obras de
engenharia

12 ANOS DE
TRADIÇÃO

Construtora e Imobiliária Tresel S. A.

AVENIDA S. JOÃO, 1086 - 4.º And. - FONE 36-7186 (rêde interna) - SÃO PAULO



"INTRA FERRO"

Indústria de Trefilação de Ferro Ltda.

Trefilação de metais não ferrosos:

Alumínio

Alpaca

Cobre

Latão

Av. Celso Garcia 1.338

phones: 93-14-76

93-26-00

São Paulo



INDUSTRIA DE ABRASIVOS S.A.

Rua Fernandes Vieira, 174 - Belém - Fones: 92-2764 e 93-9700

Elektryczne instalacje przemysłowe
niskiego i wysokiego napięcia

E L O B R A

OBRAS ELÉTRICAS LTDA.

Brigadeiro Tobias 356 — 10.º Conj. 103 — Tel.: 34-0806

SÃO PAULO

Paczki i pieniądze

DO POLSKI I ZWIĄZKU SOWIECKIEGO

TAZAB — LONDON

P.K.O. — WARSZAWA

Zastępstwo

Empresa — J. RAJIC LTDA.

Praça da Sé, 399 — 4.º

Telefon: — 33-4983 i 36-8530

SÃO PAULO — BRASIL

Embeleze seu lar

E VALORIZE SEU TV TORNANDO-O

MODERNO, FUNCIONAL E AGRADÁVEL

Mesas ELEM para TV

PROCURE NAS LOJAS ESPECIALIZADAS

WEEK-ENDY I WAKACJE

RANCHO BOA ESPERANÇA, SÃO JOÃO NOVO
1.000 m. n.p. morza, źródła wody mineralnej, uroczne spacery,
konie pod wierzch, owoce.

Apartamenty z wodą bieżącą i światłem elektrycznym, kuchnia polska. — CENY UMIARKOWANE.

Odległość od São Paulo — koleją 1 i ½ godz. Estr. Sorocabana lub drogą kołową 45 km. przez Cotia, Roselandia, Itapevi, Santa Rita, São João Novo.

Informacje telefonicznie: tel.: 35-5584 lub
Caixa Postal, 6335, São Paulo.
Tel.: SÃO JOÃO NOVO N.º 9



KUBKI PAPIEROWE

do 1 ltr pojemności

BUTELKI PAPIEROWE

(Container's)

Talerzyki i kubki papierowe

Na uroczystości, pikniki, etc. (Fantasia)

Opakowania specjalne dla super-mercados, fabryk konserw, etc.

INDÚSTRIA INAJA

Artefatos, Copos, Embalagens de Papel S.A.



Fábrica: Rua Clelia, 1642 — Fone: 62-8631 — SÃO PAULO

End. Telegr.: "COPINDUS"

Artykuły luksusowe męskie. Artykuły importowane. Materiały krajowe i zagraniczne.

Pracownia krawiecka
(kierownictwo włoskie)
KOSZULE NA MIARĘ

Dandy

J. Grunpeter (dawn. Katowice)
R. Oscar Freire 667 (esq. R. Augusta)
SÃO PAULO

Dr. Arnaldo Serroni

ADVOGADO

Causas cíveis, comerciais, criminais,
trabalhistas e fiscais, inventários, despejos etc.

Praça da Sé, 96 — 5.º Salas
84, 89 e 90 — Tel.: 32-2461

SÃO PAULO



BRASAMPA S/A

Assistência técnica para
indústria do plástico

Av. Ipiranga, 1248 - Conj. 1107

São Paulo - Capital

KORZYSTAJCIE Z USŁUG

Companhia para Expansão da Construção

"COEXCO"

COEXCO incorpora nowoczesne i komfortowe domy mieszkalne.
W domach COEXCO rozmieszczenie mieszkań, ich wykończenie i estetyka pozostają na najwyższym poziomie.

Pięć zasad COEXCO:

niezawodny termin
stała, niezmienna cena
własne tereny
staranne wykończenie
sprzedaż na raty

COMPANHIA PARA EXPANSÃO DA CONSTRUÇÃO "COEXCO"

São Paulo, r. São Bento, 279 — 12 piętro. Tel. 33-4737

Caldeiraria e Mecânica INOX Ltda.

ESPECIALIZADOS EM AÇO INOXIDÁVEL
— COBRE — ALUMÍNIO — FERRO —



RESERVATÓRIOS
AUTOCLAVES
CALDEIRAS
TANQUES
TACHOS



EQUIPAMENTO P/INDÚSTRIAS

- ★ Química - Farmacêutica
- ★ Gorduras - Sabões
- ★ Perfumarias - Cosméticos
- ★ Têxtil - Tinturarias
- ★ Papel - Papelão
- ★ Conservas - Chocolates
- ★ Carnes - Frigoríficos
- ★ Laticínios - Pasteurizados
- ★ Bebidas - Distilarias
- ★ Plásticos - Borracha
- ★ Tratamento de água

ESCRITÓRIO E FÁBRICA:
Rua Oliveira Lima, 455
C a m b u c i

Fone: 35-4995
SÃO PAULO

"BRASTRAF" INDÚSTRIA DE TREFILAÇÃO S. A.

Trefilação de:

Tubos de aço com ou sem costura.

Barras cheias redondas e com todos os perfis.

Arame de aço.

Rua Ibitirama, 1.800
V. Prudente
Enderêço telegráfico
"BRASTRAF"

Enderêço para correspondência
Rua 7 de Abril, 252 — 10.º

Fones: 63-3100
63-3109

SÃO PAULO

KLINIKA OCZNA
NOSA, USZU I GARDŁA

Dr Wolf Ursztajn

dypłomowany w Paryżu i w Brazylii, członek tytularny Brazylijskiego Towarzystwa Oftalmologicznego w Rio de Janeiro.

Recepty do okularów. Operacje i leczenie

Przyjmuje codziennie od 9 do 18, w soboty do 12. Av. São João, 755 1 p. cj. 11, obok kina Metro — Tel.: 34-1909

JEDNODNIÓWKA

California News

Niezależne pismo miesięczne. Ciekawe artykuły i wiadomości ze Stanów Zjednoczonych, głównie z Kalifornii i Arizony.

Prenumerując "Jednodniówkę" nie płacisz w dolarach. Wystarczy, że przyslesz używane znaczki pocztowe z Południowej i Centralnej Ameryki.

Zamówienia należy przesyłać pod adresem:

B. A. Zaremba. 6481 E. Florence ave BELL GARDENS,
Cal. U. S. A.

O REVESTIMENTO PLÁSTICO MAIS VERSÁTIL
DO MUNDO

GENUÍNA CHAPA PLÁSTICA



Mais de cem côres e padrões diferentes.
Não mancha, não queima, não aranha, não acumula poeira.
Fabricada em acabamento brilhante, fôsko e meio fôsko.

COMPANHIA QUÍMICA INDUSTRIAL
DE LAMINADOS

Av. Rio Branco, 57 5.º — fone: 23-9515

RIO DE JANEIRO

Filial: São Paulo, Av. Paulista, 2113
(Conjunto Nacional) Tels.: 32-8312

Indústria Metalúrgica STELLA LTDA.

TUBOS "ELETRODUTOS"

TUBOS TREFILADOS

TUBOS PARA QUALQUER FIM INDUSTRIAL

Escritório: — Rua Conselheiro Crispiniano

N.º 53 — 9.º andar — conj. 93

Telefones: — 35-9189 e 35-9180

SÃO PAULO

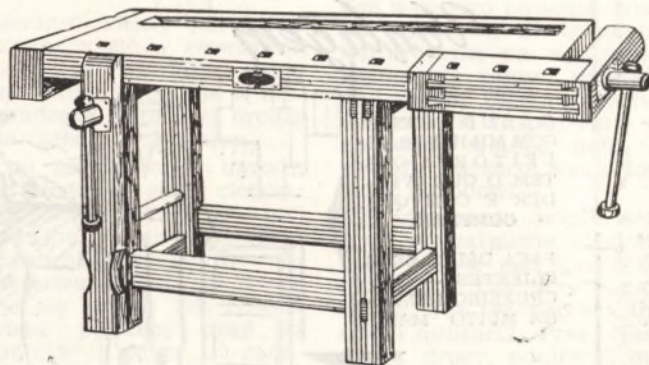
Fábrica — Via Monteiro Lobato, 3097

Guarulhos

INDÚSTRIA DE MADEIRAS



RUA SOUZA LIMA, 200 — TEL.: 52-3942, — SÃO PAULO



Fabrykuje solidne warsztaty dla stolarzy, modelarzy i amatorów jak również dla ślusarzy, jubilerów i t. p.
Posiadamy duży zapas warsztatów gotowych.

SPRZEDAJĘ i PRZYJMUJĘ

W KOMIS

KSIĄŻKI POLSKIE

SEWERYN HARTMAN

Rua Barão de Itapetininga, 140

s. 133 — Cx. Postal, 6335

Tel.: 37-5741

SÃO PAULO

Tipografia

ALADA LTDA.

Rua Vitória, 237 Tel.: 35-2994

SÃO PAULO

Druki handlowe wszelkiego
rodzaju

Zaproszenia na śluby

Karty wizytowe

Stemple

WYKONANIE SOLIDNE

I TERMINOWE

Construções

Mecânicas

Rozenowicz Ltda.

Transportadores

Alimentadores

Elevadores

Peneiras

Moinhos de martelos

Estruturas metálicas

Rua da Balsa, 10 PIQUERI

Cx. Postal, 11.912 — SÃO PAULO

SPIC

**Sociedade Paulista
de Instalações Gerais Ltda.**

PROJETOS

INSTALAÇÕES INDUSTRIAIS

ELETRICIDADE

MECÂNICA

HIDRÁULICA

AV. DUQUE DE CAXIAS, 94

FONE: 52-1105 - (Rêde Interna)

End. Telegr.: "SPIGERAL"

São Paulo

RODOVIÁRIA
EXPRESSO

LEÃO

LTD.



TRANSPORTES RODOVIÁRIOS PARA:

**São Paulo
Salvador
Recife**

Av. Guilherme Cotching, 776

Fone: 93-7910 — SÃO PAULO.

KULTURA

Największy na emigracji miesięcznik literacko-kulturalny.

Prenumerata roczna — 9 dol.

Zamówienia przyjmuje:

SEWERYN A. HARTMAN

Cx. Postal 6335 — São Paulo

Wszystkie nowości książkowe Kultury.

LUD

O MAIOR JORNAL
POLONES DA AMERICA
LATINA

FUNDADO EM 1920

**BOA IMPRESSÃO
VASTA DISTRIBUIÇÃO
TRADIÇÃO**

Circulação

É O PRIMEIRO EM
TERRAS DO INTERIOR
PARANENSE!



Penetração

É O PRIMEIRO EM
PENETRAÇÃO NOS
LARES DO INTERIOR!



Vantagem

O "LUD" CONTA
COM MILHARES DE
LEITORES. QUE
TÊM O QUE VENDER
E COM QUE COMPRAR.

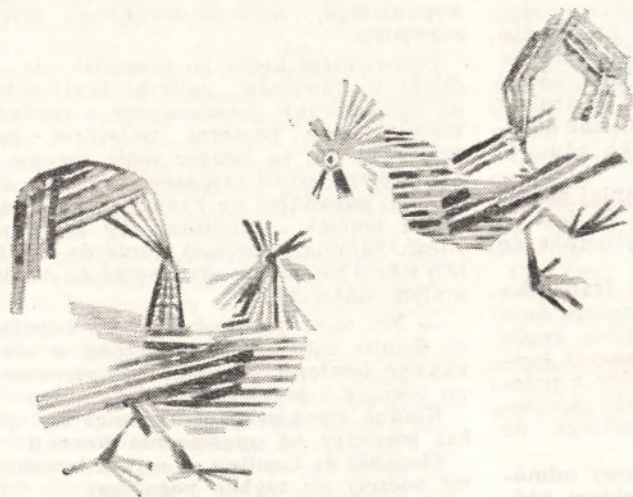
FAÇA DELES SEUS
CLIENTES. — SEU
CRUZEIRO RENDERA
MUITO MAIS.



ANUNCIE NO LUD

REDAÇÃO E ADMINISTRAÇÃO: — RUA CABRAL 846
FONE: 4-1057 — CAIXA POSTAL 155 — CURITIBA - PARANA

E FAÇA AGORA SUA ASSINATURA



REDADORES RESPONSÁVEIS: Casimiro Kinskowski e Sigismundo Schlegel.

REDATOR CHEFE: Seweryn A Hartman

DIRETOR ADMINISTRATIVO: Sergio Elia.

REPÓRTER: José Fassina

REVISOR: Adelio Buono

EDITADA: pela Editora Team Ltda.

Redação e Administração: Av. Ipiranga, 1071 - 8.º - S/811/12
Cx. Postal 4530 - Fone: 35-5432 — São Paulo — Brasil.

Assinaturas: Cr\$ 800,00 anuais (12 números). Para os estados do Paraná, Santa Catarina e Rio Grande do Sul Cr\$ 500,00.

Para o exterior: US \$ 3,00. Número avulso Cr\$ 70,00.

Composto e impresso nas oficinas do jornal "LUD" — Al Cabral, 846 — Curitiba — Paraná.



POLITYKA I RZECZYWISTOŚĆ — POLITYKA I RZECZYWISTOŚĆ — POLITYKA I RZE

Kandydaci na Władców Świata

W polityce, jak w większości poczynañ ludzkich, panuje zakłamanie. Magowie polityczni potrafią mydlić oczy prostaczkom. Ba, czy tylko prostaczkom? Wszyscy żyjemy pod sugestią sloganów, mitów i założeń przez nikogo nie sprawdzanych, przyjmowanych na wiarę.

Do takich właśnie mitów należy zagadnienie nacjonalizmu. Nikt nie wie co ono właściwie znaczy. Dążenie do wyłączości narodowej w granicach państwa? Dążenie do zasymilowania innych narodowości?

Wszyscy natomiast wiemy jak łatwo nacjonalizm przeradza się w szowinizm, jak łatwo nacjonałisci, stawiając swoją narodowość ponad inne, popadają w megalomanię, prowadzącą w prostej drodze do prowadzenia zaborczych wojen.

Od choroby tej nie są wolne narody, które jeszcze do niedawna same cierpiały pod butem ciemniejszych. O smutnej przeszłości zapomina się prędko, smak niewoli mija nierównie szybciej, niż zgaga. Pojawia się uczucie dumy narodowej, rozwijające się bujnie jak chwast ponad rzeczywistość potrzebę. Stąd już niedaleko do ambitnych celów, do żądania dla siebie Lebensraumu i patrzenia łakomym wzrokiem na ziemie innych narodów.

Jakiś narodek, który do tej pory przebywał w ciemnocie i ubóstwie, odkrywa nagle, że jest narodem wybranym, że jego zdolności i talenty predystynują go na Mesjasza. Tak rodzi się polityka wielkomocarstwowa, która niekiedy może

doprowadzić do katastrofalnych skutków.

Dwa takie przykłady mamy przed oczyma: Egipt i Indonezję. Byliśmy po stronie tych narodów, gdy starały się zrzucić jarzmo kolonializmu i wywalczyć niepodległość. Sympatia nasza towarzyszyła im w czasie stawiania pierwszych kroków na trudnej drodze samodzielnego bytu.

Ale oto ledwo Jaś wybudował chałupę już spostrzegł, że jest za niska. Jeszcze masy ludowe Egiptu nie zdołały osiągnąć wyższego poziomu życia, jeszcze kraj nie zdołał się dźwignąć pod względem kulturalnym na wyższy szczebel, a już Egipcjanie zaczęli marzyć o hegemonii nad całym Bliskim Wschodem. Jest to nastawienie inspirowane przez niekoronowanego władcę, pułk. Nassera, który potrafił narzucić swoje idee całemu bez mała narodowi.

Zjednoczenie świata arabskiego stanowi, niewątpliwie, myśl słuszną. Chodzi tylko o to w jaki sposób osiągnąć to zamierzenie. Czy przy pomocy perswazji i ugody, czy też poprzez intrygę i gwałt, manę militarną? Prez. Nasser wybrał tę drugą drogę, ponieważ mu się spieszy. Woli zerwać owoc z drzewa, niż czekać aż dojrzeje i sam spadnie. Przez swoich wysłanników wywoływał i wywołuje ferment w krajach arabskich, doprowadza do rewolucji, a w razie potrzeby, jak np. w Jemenie, wspiera rewolucję własnymi siłami zbrojnymi.

Podziwiać należy tego człowieka! Wielokrotnie znajdował się na progu trium-

fu i nagle triumf przekształcał się w klęskę. Unia z Syrią nawiązana i zerwana, związek z Jemenem nawiązany i zerwany. Walka o Suez, w której zaatakowany przez przeważające siły Anglii, Francji i Izraela poniósł sromotną porażkę i tylko dzięki interwencji Stanów Zjednoczonych zdołał zachować twarz. Kiedy w r. 1961 Syria wystąpiła ze ZRA zdawało się, że wszystkie jego ambitne zamierzenia raz na zawsze zostały pogrzebane. Gdzie tam! Jak kot podniósł

SPIS RZECZY:

Polityka i rzeczywistość ..	str. 7 - 12
W świecie nauki ..	" 12 - 14
Przeszłość a teraźniejszość ..	" 14 - 15
Podróże — Przygoda ..	" 16
W Brazylii ..	" 17 - 18
Rzeczy ciekawe ..	" 13 - 19
Na pograniczu bajki ..	" 19
Literatura i sztuka ..	" 20 - 22
Zagadnienia społeczne i gospodarcze ..	" 23 - 25
Na naszym podwórku ..	" 25 - 27
W starym kraju ..	" 28 - 32

się Nasser po upadku na nogi. Rewolucję w Jemenie, Iraku i Syrii, inspirowane przez niego i przygotowane w sposób zadziwiająco sprawny, przywróciły idei zjednoczenia rabskiego pod egidą Egiptu dawną moc. Nasser ma obecnie trochę kłopotu ze swoimi partnerami, którzy nie chcą się mu całkowicie podporządkować, ale są to kłopoty przejściowe. Partia Baas w Syrii i w Iraku w końcu skapitułuje dobrowolnie albo zostanie zmieciona z powierzchni ziemi, a głowy jej przywódców zleca, jak zleciała głowa Kassema.

Jakież są plany prez. Nassera? Dąży on do stworzenia wielkiego mocarstwa ze stolicą w Kairze ogarniającego dużą część Azji i być może całą Afrykę. Marzy mu się rola hegemonia pół świata, z którym zarówno Europa, jak i Stany Zjednoczone i Związek Radziecki musiałyby się liczyć jak z równym partnerem. Na razie, prowadząc chytrą politykę, wyzyskuje kontrowersje pomiędzy Wschodem i Zachodem i od obu stron bierze pieniądze i pomoc techniczną.

Podobnie Sukarno, obrany ostatnio "dożywno", prezydent Indonezji. Ten jest tak samo przebiegły i tak samo nie przebiera w środkach. Jego pretensje do t. zw. Zachodniego Iranu oparte były na założeniu, że Indonezja jest sukcesorem Holandii w jej koloniach azjatycko-australijskich. Wątpliwy argument. Z Papuasami Nowej Gwinei Indonezjczycy nie są spokrewnieni. Nie łączą ich więzy krwi, ani wspólna tradycja kulturalna.

Holendrzy w sporze z Indonezją nie mieli znikąd poparcia. Organizacja Narodów Zjednoczonych i Stany Zjednoczone skłaniały ich do pojednania, Sukarno groził wojną. Za słabi byli militarnie, żeby się opierać.

Biedni Papuasi! Zmieniono im jednego pana na drugiego.

Po zagarnięciu Iranu Zachodniego Sukarno rozpoczął knowania o zdobycie Północnego Borneo i Sarawaku. Inspirowana przez niego rewolucja w Północnym Borneo zakończyła się wprawdzie fiaskiem, ale był to dopiero balon próbny. Ostatnio lansuje myśl stworzenia w regionie oceanu Indyjskiego i Spokojnego potężnej federacji składającej się z Indonezji, Filipin i Malajów. Kwestia pozostałej części Nowej Gwinei pod mandatem australijskim nie daje mu również spać spokojnie.

Tak jak i Nasser Sukarno do dwóch krowy: sowiecką i zachodnią. Rywalizujące ze sobą potencie popierają tych niegłupich ludzi i szukają ich względów. Dyktatorzy z Kairu i Dżakarty umie-

Dzieło Jednego Człowieka

(Na marginesie pamiętników gen. Sir Edwarda Spears'a).

Kto był we Francji w r. 1940, kto widział tłumy Francuzów tańczących i śpiewających na ulicach w dniu klęski, kto był świadkiem publicznego poniżenia się i upodlenia czołowych jej polityków i ministrów z marsz. Petainem i Lavałem na czele, ten musi uznać powojenne odrodzenie się Francji za zjawisko zdumiewające.

Trudno w to uwierzyć, niemniej pozostanie faktem historycznym, że jest to dziełem jednego człowieka, generała de Gaulle.

17 lipca, 1940 roku armia francuska poddała się Hitlerowi. Tego samego dnia zawiódł się w ówczesnej siedzibie rządu francuskiego — Bordeaux, generał brytyjski Sir Edward Spears, który z polecenia Churchilla miał przewieźć samolotami członków rządu francuskiego do Londynu.

Wszyscy ministrowie francuscy odmówili wyjazdu. Jedynym człowiekiem, który zgłosił się natychmiast u gen. Spears'a był Charles de Gaulle.

Nikt w Anglii nie zdawał sobie sprawy jak kompletną była demoralizacja władz III Republiki. Ukoronowaniem upodlenia było — skazanie de Gaulle'a na śmierć przez rząd francuski za deucznię dalszej walki o odzyskanie wolności.

Po przybyciu do Londynu ofiarowano de Gaulle'owi mały, nieumeblowany apartament w dzielnicy Westminster. Tutaj rozpoczął krzyżową drogę odbudowy francuskich sił zbrojnych, tutaj walczył z Brytyjczykami o prawo reprezentowania państwa francuskiego. Ze współzyciem z nim nie będzie łatwe, przekonali się Anglicy zaraz w pierwszych dniach po jego przyjeździe.

De Gaulle przygotował przemówienie radiowe do narodu francuskiego.

Zażądano żeby oddał je do ocenzurowania. De Gaulle odmówił. Albo będzie mówił co chce, albo nie będzie mówił

wcale. Miałem możność słuchanie tego wspaniałego, nieocenzurowanego przemówienia.

Człowiekiem który go rozumiał, ale — dzięki nastawieniu polityki brytyjskiej na spodziewane porozumienie z rządem Vichy, — nie popierał należycie, był Churchill. On to, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa grożącego rodzinie de Gaulle'a, pozostałej we Francji, wysłał samolot morski, Catellina, aby ją przewieźć. Samolot przepadł, żonie de Gaulle'a udało się cudem przedostać do Anglii małym stateczkiem.

— No, więc przyjechałaś? — zapytał de Gaulle usłyszawszy głos żony w słuchawce telefonu. — Siadaj do pierwszego pociągu i przyjeżdżaj do Londynu...

Kładąc słuchawkę uśmiechnął się po raz pierwszy od opuszczenia Francji.

Stosunki de Gaulle'a ze sprzymierzonymi poczęły się szybko pogarszać.

Konsulowie rządu francuskiego, stale przebywający w Anglii, robili wszystko aby przeciwdziałać werbowaniu ochotników do armii "Wolnych Francuzów". "Jeśli pójdziecie za de Gaullem — mówili — będziecie zdrajcami". Rząd brytyjski nie przeciwdziałał tej akcji. Siły de Gaulle'a, choćby w porównaniu z naszą armią na zachodzie, — były niczym.

On sam, w miarę pogłębiania się rozdziewków, stał się opryskliwy i nieprzystępny. Za najmniejszy objaw uniżoności wobec Anglików, karał surowo swoich oficerów.

Najciężej przeżył zatopienie floty francuskiej przez Brytyjczyków w Oranie. Poszły wtedy na dno nowoczesne pancerniki "Bretagne" "Dunkerque" "Provence" i inne okręty wojenne. Potym wypadku de Gaulle nosił się z myślą opuszczenia W. Brytanii i wyjazdu do Kanady.

Po zakończeniu wojny, de Gaulle oświadczył gen. Spearsowi, że zamierza wycofać się z życia publicznego i osiąść na wsi. Spears, odpowiedział mu na to:

— Skazał się pan na życie dla Francji, a od tego wyroku nie ma odwołania...

Niektórzy ludzie uśmiechają się mówiąc, że generał de Gaulle powiada o sobie: "Francja to ja".

Ten dowcip, niedaleki jest od prawdy. Francja bez de Gaulle'a, a to Francja z roku 1940.

Henryk Przyborowski.

ARAMIS

Sprawy Drażliwe

Dorocznym zwyczajem w grudniu odbyła się w Paryżu sesja Rady Paktu Północno-Atlantyckiego, która zebrała się po to, by zbilansować działalność NATO w ciągu ostatniego roku i zaplanować ją na rok 1963. Kto uważnie śledzi te coroczne sesje, temu rzucić się musi w oczy stały wzrost aktywności delegacji zachodnoniemieckiej, a jednocześnie stały wzrost roli i znaczenia NRF w obrębie paktu atlantyckiego. Nie trudno przy tym stwierdzić, że to rozpychanie się Republiki Federalnej wewnątrz NATO pozostaje w ścisłym związku z rozbudową Bundeswehry.

Opinia polska nieustannie ostrzega świat przed konsekwencjami remilitaryzacji Niemiec zachodnich, a w tym zakresie przecież może ze względu na swoje doświadczenia

uchodzić za eksperta. Lecz ostrzeżenia te padają na głębię jalołą. Ileż to razy można było w części prasy krajów członkowskich NATO czytać, że Polacy ciągle jeszcze cierpią na kompleks okupacyjny i że nie potrafią, a może zgola nawet nie chcą dostrzec tego nowego, które rzekomo bujnie rozrasta się w NRF, że nie dostrzegają głębokich przemian, jakie zaszły i ciągle jeszcze zachodzą w psychice niemieckiej, że polskie — krótko mówiąc — stanowisko wobec "rzekomego" militarysty niemieckiego jest anachronistyczne. Częstość przy tym padają argumenty, że właśnie udział NRF w pakcie atlantyckim najlepiej gwarantuje kontrolę nad rozwojem zbrojeń zachodnoniemieckich.

Wszystko to są argumenty aż nadto do-



Rynek Starego Miasta w Warszawie

brze znane. Bardzo mało natomiast prasa zachodnia popierająca NATO pisze o innej, jakby wstydliwie przemilczanej, ekonomicznej stronie problemu.

Krótko mówiąc, koszt stacjonowania wojskowych kontyngentów państw członkowskich NATO, a ściślej mówiąc atlantyckich mocarstw w Republice Federalnej jest tak wysoki, że pociąga za sobą deficyt bilansu płatniczego tychże mocarstw w stosunku do NRF. Deficyt ten wszakże może ulec zredukowaniu, jeśli Bonn odpowiednio zwiększy zakupy broni dokonywane w tych krajach. Tak więc według "Frankfurter Allgemeine Zeitung" — w latach 1956 - 1960 zachodniemieckie zakupy zbrojeniowe w USA wyniosły 1,48 mld dolarów, tj. około 6 mld marek. "Niemiecko-amerykański handel zbrojeniowy" — pisała "Stuttgarter Zeitung" — ma... wielkie polityczne znaczenie, albowiem wzmacnia zainteresowanie Waszyngtonu dla Bundeswehry oraz bońskiej gotowości do paktu obronnego.

A przecież nie tylko same Stany Zjednoczone sprzedają broń Republice Federalnej. Wiadomo nawet, że między mocarstwami atlantyckimi trwa zacięta rywalizacja o zdobycie zamówień zachodniemieckich dla przemysłu zbrojeniowego. Ze zaś klient ma oczywiście swobodę w wyborze dostawcy, nie trzeba dodawać, że sztab Bundeswehry bierze pod uwagę najwyższą wartość bojową dostarczanej broni. Innymi słowy, Bundeswehra jest dzięki temu wyposażona w broń nowoczesną.

Skożo zaś mowa o nowoczesnej broni, to niemal automatycznie rodzi się pytanie o broń atomową i dysponowanie nią przez Bundeswehre.

Jak wiadomo, układy brukselskie zawierają klauzule, w których rząd zachodniemiecki rzeka się produkowania i ewentualnie posiadania pewnych rodzajów broni, a więc przede wszystkim broni służącej masowemu zniszczeniu, tzw. broni ABC.

Jest wszakże tajemnicą poliszynela, że naukowe instytucje zachodniemieckie biorą udział w opracowywaniu problemów technicznych związanych z produkowaniem tych broni. 6 lipca 1961 r. rząd NRF przystąpił do proponowanego przez Anglików programu piętnastoletniego, który obejmuje budowę rakiety międzykontynentalnej, opartej na brytyjskim pocisku raketowym "Blue Streak" i francuskim pocisku "Veronique". Według danych z kwietnia 1962 r. wkład pieniężny NRF na pokrycie kosztów realizacji tego programu wynosi 170,6 mln DM, przy czym NRF ma wziąć udział w budowie trzeciego członu rakiety.

Od roku 1958 istnieje porozumienie między NRF a Francją w sprawie wspólnego użytkowania francuskiego Instytutu Balistycznego w Saint-Louis oraz raketowego poligonu doświadczalnego w Colomb Bechar na Saharze.

Jak więc widzimy, nie jest tak trudno obejść klauzule układów brukselskich.

A zresztą NRF bynajmniej nie ukrywa, że jej atlantyccy sojusznicy domagają się od niej intensywnych zbrojeń. 21 maja 1962 r. rzecznik bońskiego Ministerstwa Obrony oświadczył, że NATO domaga się, by Bundeswehra podniosła swój stan do 500 tys. ludzi.

W tych warunkach trudno od rządów mocarstw atlantyckich oczekiwać refleksji nad tym, jakie następstwa dla bezpieczeństwa narodów europejskich niesie remilitaryzacja zachodniemiecka.

W ostatnich jednak tygodniach wbrew argumentom atlantyckich sojuszników Bonn, stanowisko polskie znalazło nowe, dobitne i ciekawe potwierdzenie w faktach.

Od dłuższego czasu na szpaltach prasy światowej utrzymuje się afera tygodnika "Der Spiegel". Nawiasem mówiąc, kryzys polityczny wywołany tą aferą, najgłębszy kry-

PRO MEMORIA

Posażek z brązu, przedstawiający na marmurowym cokole Adolfa Hitlera w pozie "napoleońskiej", stoi sobie w oknie antykwariatu w Kaiserlautern. Po co? Po to chyba, żeby — przynajmniej w rozumieniu antykwarisza — kusić oko przechodnia...

Emmy Göring, lat 69, wdowa po marszałku Rzeszy, spędziła kilka tygodni urlopu w Egipcie u przyjaciół, którzy osiedlili się tam w 1945 roku...

Rudolf Benedikt von Schirach, lat 23, syn przywódcy młodzieży hitlerowskiej i ostatniego gauleitera Wiednia Baldura von Schiracha, odsiadującego karę w Spandau — poślubił pannę Elke Fährndrich, lat 19...

Oto tylko parę wzmianek, które ukazały się ostatnio w prasie zachodniemieckiej. Wzmianki drobne, zamieszczane przeważnie w rubryce "Osobiste", bądź w kronice towarzyskiej, czy pośród innych magnaliów — świadczą chyba o tym, że w Bundesrepublik budzą jeszcze pewne zainteresowanie relikty

zys polityczny, jaki przeżyła NRF, przesłonił samą sprawę "Spiegla". Wróćmy jednak do niej.

Jest w tej sprawie sporo elementów, które całej atmosferze kryzysu nadały specyficznego zabarwienia. Doskonale odczuła je opinia publiczna w krajach zachodnich. Wprawiły one w zaniepokojenie nawet tych, którzy niezachwianie wierzyli w istnienie prawdziwej demokracji w NRF, negując jednocześnie odradzanie się w Republice Federalnej zjawisk aż nadto dobrze znanych z nie tak dawnej przeszłości historii. O tych elementach i zjawiskach pisał włoski tygodnik "Espresso":

"Stopniowo, krok za krokiem, ludzie w Niemczech zachodnich dowiadują się prawdy. Pewne fakty znane dotychczas tylko niewielu, którzy nie ośmielali się głośno o nich mówić, dzisiaj przedostały się do wiadomości publicznej. Niemcy wiedzą teraz, że wszystkie rozmowy telefoniczne są kontrolowane, że policja federalna może bez upoważnienia ministerstwa spraw wewnętrznych i sprawiedliwości zapukać do ich drzwi w nocy i aresztować, że zadenuncjowanie kogoś przez osobę prywatną o utrzymywanie stosunków z Niemcami wschodnimi wystarcza, żeby bez żadnych dowodów stanąć przed sądem. Wiedzą również, że "służba bezpieczeństwa" jest bardzo rozbudowana i że odpowiednia komórka ministerstwa obrony sporadziła listę 40 tys. "podejrzanych" obywateli... Ze w CDU istnieje grupa, na której czele stoi sekretarz stanu Globke (autor norymberskich ustaw rasowych), a która kontroluje wszystkie dzwignie władzy. Ze aparat państwowy, któremu są tradycyjnie posłuszni, wierząc w jego uczciwość, a zwłaszcza w jego "apolityczność", jest zwykłą fasadą, za którą kryje się prawdziwa władza"...

Fakty te razem wzięte dają określony obraz sytuacji, jaka panuje w Republice Federalnej. Powiązane zaś z urzędowaniem na wysokich stanowiskach byłych aktywnych hitlerowców — w pełni potwierdzają słuszność ostrzeżeń wyrażanych przez polską opinię publiczną. Jeżeli posuniemy się w naszych rozważaniach krok dalej, to będziemy musieli stwierdzić, że właśnie to państwo jest filarem sojuszu zachodniego i zmierza do prymatu w sprawach paktu atlantyckiego na kontynencie europejskim. Zmierzając do tego starą pruską drogą, budując i umacniając swój potencjał militarny. Droga ta — jak uczy historia — jest niebezpieczna nie tylko dla Europy.

TADEUSZ ROJEK

światnej ongiś przeszłości, którą sfery oficjalne starają się raczej puścić w niepamięć. No, bo czy prasa zamieszczałaby takie wiadomości, gdyby zainteresowanie nimi było niewielkie? Najwidoczniej redakcje orientują się, co zaciekawia czytelników. Bądź co bądź partia NSDAP liczyła kiedyś kilkanaście milionów członków...

A jej założyciel? Czegoż o nim dowie się przeciętny obywatel Bundesrepublik, gdy weźmie do ręki któryś z popularniejszych leksykonów? Na przykład "Das aktuelle Lexikon", wydawany i uzupełniany corocznie przez wydawnictwo C. Bartelsmanna w Güterslohu koło Bielefeld? W leksykonie tym czytamy pod literą "H":

"HITLER Adolf, polityk narodowo-socjalistyczny, ur. 20-IV-1889 roku w Braunau (Górna Austria), zmarł 30-IV-1945 roku w Berlinie. W dniu 8 - 9 listopada 1923 r. dokonał puczu w Monachium, otrzymał 25-II-1932 obywatelstwo niemieckie. W dniu 30 stycznia 1933 roku został kanclerzem Rzeszy, a 2-VIII-1934 — po śmierci Hindenburga — kanclerzem i "Führerem". Na mocy ustawy o pełnomocnictwach w dniu 24-III-1933 otrzymał władzę dyktatorską, którą jeszcze zwiększył przejmując 4-II-1938 rozkazodawstwo nad Wehrmachtem jako jego najwyższy dowódca. Zamachy na niego — 8-XI-1939 w monachijskiej "Bürgerbräukeller" i 20-VII-1944 w Kwaterze Głównej — zawiodły. Swoje sukcesy w polityce wewnętrznej i zagranicznej sam wystawił na ryzyko podejmując decyzję o wojnie z Polską, co doprowadziło do II wojny światowej. W dniu 25-X-1956 roku Hitler został urzędowo uznany za zmarłego".

Ot i wszystko! Ani słowa o programie, o metodach zdobycia i sprawowania władzy, o krwawych rozprawach z opozycją, o stosowaniu masowego terroru, obozów koncentracyjnych, wyniszczeniu Żydów, łamaniu układów międzynarodowych, czy wprowadzeniu nieludzkich metod w krajach okupowanych, o biologicznym wyniszczaniu całych narodów. Nic, ani słowa oceny, czy krytyki. Tyle tylko, że "swoje sukcesy... sam wystawił na ryzyko"... Notatka złożona z samych dat. Klasyczny przykład niemieckiej oschłości i pseudonaukowego "obiektywizmu".

Spośród owych dat wyjmijmy jedną: 30 stycznia 1933 roku, datę dojścia Hitlera do władzy. Od tego wydarzenia minęło właśnie 30 lat. "Dajcie mi 4 lata czasu, a ja was urządzę!"... "Kraft durch Freude!", "Arbeit macht frei!", "Eintopfgericht!", "Alle Räder müssen rollen für den Sieg!", "Nur für Deutsche!", "Deutschland siegt an allen Fronten!"...

Mamy przed sobą fotografię z 1933 roku. Trzydzieści lat temu robił ją Heinrich Hoffmann, nadworny fotograf Hitlera, ten sam, w którego laboratorium Hitler kiedyś poznał Ewę Braun. Na zdjęciu widnieje "Führer" w otoczeniu wszystkich Reichsund Gauleiterów partyjnych. Razem 41 osób. Grupowe zdjęcie aktywu hitlerowskiego, na którym Adolf Hitler opierał się właśnie w okresie, kiedy dorwał się do władzy. Sami najwierniejsi, najzagorzalsi, współtwórcy, podpora hitleryzmu.

I cóż się z nimi wszystkimi stało? Jaki ich spotkał los?

Z całej tej grupy żyło po wojnie na wolności tylko 7 osób. Wszyscy inni z "uwiecznionej" na zdjęciu czołówki aktywu hitlerowskiego z 1933 roku zostali rozstrzelani, zabici, powieszani, bądź popełnili samobójstwo, a w najlepszym razie zostali skazani na dożywotnie bądź długoletnie więzienie,

Dok. na str. 10



Wejście na dziedziniec Uniwersytetu Warszawskiego.

PRO MEMORIA

Dok. ze str. 9

zginęli w wypadku, uznano ich za zaginionych, czy też zmarli śmiercią naturalną. Tych ostatnich było tylko czterech: Mutschman, Röver, Dietrich i Adolf Wagner — wszystko Gauleiterzy. Pięciu uznano za zaginionych. Są to: Reichsleiter Bormann i Gauleiterzy Görzler, Holzschuler, Jordan oraz Meier. W wypadku zginął Gauleiter Schem. Skazano na dożywocie Reichsleitera Hessa i Gauleitera Hellmutha, a Gauleiter Schwede — Coburg otrzymał długoletnią karę więzienia. Gauleiter Koch, skazany na śmierć, odbywał karę dożywotniego więzienia. Gauleitera Roberta Wagnera rozstrzelano karnie. Gauleitera Kube'go zabili partyzanci. Gauleiterów Brücknera i Josefa Wagnera zabito niejako "służbowo" — pierwszego zamordowano w 1934 roku podczas tzw. puczu Röhma, drugiego zakłili sami SS-mani przy okazji jakiegoś innego porachunku. Powieszono w Norymberdze dawnych Reichsleiterów: Fricka, Rosenberga, Sauckla i Streichera, a gdzie indziej — Gauleiterów Forstera i Hilderbrandta. Samobójstwo popełnili Reichsleiterzy Goebels, Bouhler i Ley, z Gauleiterów — Bürckel, Murr, Simon, Sprenger, Telschow i Terboven, a także sam Fühner, osaczony w bunkrze kancelarii Rzeszy.

Któż to zresztą zliczy, ilu paladynów Hitlera, bonzów partyjnych i wszelkich innych fanatyków nazizmu spośród późniejszego aktywu NSDAP i spoza niego — wybitnych wyznawców rasizmu, militarystyki i odwetu — zginęło niesławną śmiercią w centralnych procesach w Norymberdze i z powojennych wyroków w procesach przed sądami poszczególnych narodów, bądź też z wyroków tajnych jeszcze w czasie wojny.

Opisując swojego czasu losy wielu spośród tych panów, tygodnik "Müncher Illustrierte" opatrzył całość swojej publikacji tytułem "Przeminęli, rozwiani wiatrem historii". Bardzo piękny tytuł. Wpatrując się w zrobioną przed 30 laty aparatem Hoffmanna fotografię pierwszego aktywu hitlerowskich zbrodniarzy, moglibyśmy niemal też powiedzieć: przeminęli rozwiani wiatrem...

Ludzie, gwardia, paladyni Hitlera "przeminęli", ale czy można, ale czy doprawdy można powiedzieć, że przeminął — odwiecznie żądny podbojów — militarystyka niemiecka?

Sylvanus Olympio, czarnoskóry dżentelmen

1

Trudno tego nie zauważyć, że na pierwszej konferencji panafrkańskiej, która odbyła się przy współudziale 27 państw czarnego kontynentu i która położyła podwaliny pod organizację zbiorową kontynentu afrykańskiego (Addis Ababa, maj 1963), wyłączonego współudziału jednego tylko państwa — Togo. Był to jedynomyślny protest przeciw krwawemu przewrotowi, dokonanemu w styczniu br. w tej republice przez klikę żołdaków, która zamordowała prezydenta Sylvanusa Olympia powołując do władzy jego szwagra Grunitzkiego. Mulata o krwi niemieckiej i murzyńskiej.

2

Wśród galerii przywódców afrykańskich, nie pozbawionej indywidualności wielkiej klasy, wybijająca się niezmiernie ciekawa postać Olympia, polityka, ekonomisty, męża stanu, który w tej części świata odgrywał rolę niepomierne ważniejszą od wagi zbiegłego i malutkiego kraiku jakim rządził.

Był gatunkowo najważniejszym przedstawicielem ciekawej murzyńskiej grupy ex-repatriantów z Brazylii, których spotyka się na najwyższych szczeblach społeczeństwa w Nigerii, Togo, Dahomeju i w innych krajach zachodnio-afrykańskich. Po masowym powrocie do Afryki z Bahii około 60 lat temu (był to swego rodzaju "czarny sjonizm") stali się klasą rządzącą tych republik zachowując, rzecz niezmiernie interesującą z punktu widzenia psychologicznego, bez jakichkolwiek kompleksów poniewolniczych,

ki? Czy Bundes-republik jest kontynuacją III Rzeszy jedynie w sensie państwowoprawnym? Co myślą o tym sojusznicy Bonn?

Wydaje się, że można by tu zacytować książkę pt. "Memorandum dla J. Kennedy'ego", wydaną niedawno w Nowym Jorku przez głównych korespondentów NBC, jednego z największych amerykańskich towarzystw radiowych. Otóż w rozdziale, który dotyczy stosunków USA — NRF, a wyszedł spod pióra Johna Richa, b. korespondenta NBC w Berlinie Zachodnim, czytamy:

"Niemcy zachodnie są teraz znowu potęgą w Europie i mogą w sprawach europejskich żądać prawa głosu, który by odpowiadał ich nowemu statusowi".

Autor uważa, że dżentelmańskie ujawniają się najbardziej w dziedzinie zbrojeniowej. Pierwszy pobór do Bundeswehry odbył się w kwietniu 1957 roku. W cztery lata później Bundeswehra liczyła już 300 tysięcy ludzi. Według opublikowanego w końcu 1962 roku sprawozdania ministerstwa obrony — stan jej wynosił 415 tysięcy. Wojsko liczy przeszło 11 dywizji, Luftwaffe ma przeszło 11 eskadr bojowych i dwa bataliony rakietowe, a Bundesmarine — 15 eskadr. "Zachodnoniemieckie siły zbrojne — pisze John Rich — stały się największą potęgą na kontynencie, drugą po ZSRR". Stany Zjednoczone chciały tego — przynajmniej autor — ale "teraz naszych sojuszników, a także wielu Amerykanów przechodzi dreszcz". Podobno wielu Europejczyków pragnie, by dywizje amerykańskie pozostały w Europie, przede wszystkim dlatego, "żeby mieć oko także na Niemców".

Opisując następnie Bundeswehrę Rich stwierdza: "Nie ma w armii zachodnoniemieckiej ani jednego generała, który by nie służył Hitlerowi. Myśl, że ludzie ci będą mieli broń atomową, przeraża nie tylko Polaków i Czechów".

nie tylko język portugalski, lecz również dziwny kult do Brazylii.

Myślę, że po raz pierwszy w artykule ogłoszonym na łamach "Revista Brasileira da Política Internacional" zwróciłem uwagę tutejszej opinii publicznej na potencjalną wartość tych afrykańskich Brazylijczyków, jako kapitału dającego się zwaloryzować w ramach ekspansji brazylijskiej na obszarze Afryki. Po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych pomiędzy Brazylią, a wspólnotą nowych państw, która tam powstała, nie jest to już dziś tajemnicą dla nikogo. Z mojej poniekąd inicjatywy Olympio miał złożyć oficjalną wizytę Brazylii, z której mogło niewątpliwie wynikać wiele ważkich osiągnięć. Chacabrian, też adorator Olympia, miał mu tu zgłotować królewskie przyjęcie. Przedwczesna śmierć Sylvanusa pokrzyżowała te plany.

3

Skąd się wzięła nasza serdeczna przyjaźń?

W lipcu r. 1924, uciulawszy nieco dolarów jakąś opinią prawną w procesie międzynarodowym, wyjechałem do Wiednia, aby wypolerować nieco moją wiedzę, uzyskaną na Uniwersytecie Jagiellońskim, na Międzynarodowych Kursach Uniwersyteckich zorganizowanych przez głośną Konsularakademię przy Boltzmangasse 24.

Znałem się tam w gronie wyjątkowo ciekawie dobranym. Kogo tam nie było? Obecny szef protokołu dyplomatycznego na Quai d'Orsay, hrabia de Chauneau, dygnitarz japońskiego buddyzmu duchowny Shingen Vakai, matka High

"Któregoś dnia — kontynuuje publicysta amerykański — w poszukiwaniu niezależności atomowej Niemcy zachodnie będą mogły powołać się na przykład Francji i na jej uporczywe dążenie do stworzenia odrębnej potęgi atomowej niezależnie od kosztów i od wrażeń, jakie wywoła to w opinii publicznej".

Przedstawiając w ten sposób remilitaryzację Bundesrepublik, autor przechodzi z kolei do problemu zjednoczenia Niemiec, mając niewątpliwie na myśli "zjednoczenie" według receptury kanclerza Adenauera. Rząd USA oficjalnie, choć nie bez pewnej rezerwy, popiera bońską politykę zjednoczeniową, lecz "nasi sojusznicy — ocenia b. korespondent NBC w Berlinie zachodnim — odnoszą się do tego mniej entuzjastycznie. W tym punkcie są oni zgodni z panem Chruszczowem".

Skąd ta rezerwa, skąd brak entuzjazmu u sojuszników? — oto pytania, które powinien sobie uświadomić i dobrze rozważyć rząd kanclerza Adenauera. W zimnowojennej polityce bońskiej od trzynastu lat prawie nie się nie zmienia. Jeżeli przypomnimy o tym z okazji 30-lecia dojścia Hitlera do władzy, to nie dlatego, żeśmy sobie nie zdawali sprawy z różnic, które dzieli reżim hitlerowski od reżimu Bundesrepublik. Niemniej z losów ludzi, uwidocznił na zdjęciu fotografa hitlerowskiego z 1933 roku, którzy już wtenczas podejmowali na podstawie "Mein Kampf" przygotowania agresywne, a w większości przypadków skończyły tak fatalnie, z losów ich powinna dla Bonn wypływać niejaka przestroga historyczna. Po noc reżim kanclerza Adenauera jest głęboko i na wskroś chrześcijański. Nigdy więc nie powinien tracić z oczu chrystusowego: "Kto mieczem wojuje, od miecza ginie". Nie powinien, lecz jakże często, niemal zawsze, traci.

Aleksander Płaczowski

Commissioner z Bagdadu pani Sykes i wielu innych obiecujących przedstawicieli młodej inteligencji światowej.

Ale nikt z nich nie miał w towarzystwie wiedeńskim większego powodzenia, niż Sylvanus Olympio. Wspaniale zbudowany, pełen esprit, władający świetnie językiem niemieckim, francuskim i angielskim, przy swojej hebanowej skórze umiał zwracać główki pięknym paniom austriackim, stanowiąc dla nas bardzo niebezpieczną konkurencję. Urodzony kawalarz zaskakiwał w nocy dziewice wiedeńskie na rogu Rinstasse recytując pod ich adresem mocno erotyczne wiersze z Hermann und Dorothea Goethego, Szylingów mu przy tym nie brakowało, bo już wtedy mimo szczenięcego wieku zajmował wysokie stanowisko naczelnego dyrektora koncernu Lever na Afrykę.

Nic go tak nie intrygowało jak ocena warunków, w jakich Polska odzyskała niepodległość. Nie było to, oczywiście, czysto platoniczne zainteresowanie. Pochodząc z bitnego plemienia Ewe, które dziś, przedzielone sztucznymi i przypadkowymi zgłota granicami, zamieszkuje w Togo, Ganie i w Dahomeju, postawił sobie jako cel życia zdawało się całkowicie utopijny zdobycie niepodległości dla swej lilipucie ojczyzny Togolandii. Kraj ten, dawna kolonia niemiecka, znalazł się na mocy Traktatu Wersalskiego pod mandatem francuskim i częściowo — angielskim. Gospodarka kolonialna była poniżej wszelkiej krytyki. Francuzi i Anglicy starali się wyciągnąć z kraju maksimum korzyści gospodarczych nie dając w zamian nic. Walka emancypracyjna Olympia z największymi wówczas mocarstwami europejskim wydawała się przedsięwzięciem Don Kichota, walką z wiatrakami.

Nie mogłem się oprzeć uczuciom szczerego podziwu spotykając się w okresie międzywojennym w kuluarach Ligi Narodów w Genewie, a po ostatniej wojnie w kuluarach Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku, z moim czarnym przyjacielem, który nie zrażony wieloma niepowodzeniami prowadził niezmordowaną walkę o wywalczenie niepodległości dla Togo. Były to krople, które nie mogły wydrążyć skały paryskiego imperium kolonialnego.

Przegrał sromotnie wybory zorganizowane przez administrację mandatową. Dopiero pięć lat temu, gdy zdołał przekonać biurokrację międzynarodową, że należy pod jej nadzorem poddać losy kraju naprawdę bezstronnemu plebiscytowi, odniósł w stolicy Togo, Leme, rozstrzygające zwycięstwo, rozbijając w puch przekupione przez Paryż grupy prokolonialne.

Nawiasowo tylko wypada wspomnieć piękną rolę odegraną w grupie nadzorującej plebiscyt z ramienia Organizacji Narodów Zjednoczonych przez polskiego jej urzędnika, Witolda Langroda.

Po plebiscycie Olympio, już jako prezydent republiki, okazał w pełni talent organizacyjny usprawniając administrację i pracując nad rozwojem gospodarczym kraju. Miał jeszcze przed sobą wielką misję powołania do życia organizacji państw afrykańskich.

Polityk o orientacji prozachodniej, prawdziwy demokrat, przeciwny pseudonacjonalizmowi, ekonomicznie bardzo dojrzały, zdawał się skupiać wszystkie wartości potrzebne do uzyskania przodowniczego stanowiska w ruchu panafrykańskim. Tępił niemilosiernie demagogię Nkrumy, "wodza" Ghany, i rasizm murzyński innych kierowników nowych republik afrykańskich. Wydał walkę na śmierć i życie śmiesznym militarystom,

REFLEKTOREM PO ŚWIECIE...

W chiopięcych latach, ojciec mój wysłał mnie wraz z wychowawcą Al. Nowakowskim w podróż "po świecie". Dołączył się do nas syn bogatego przemysłowca warszawskiego, którego interesował import i eksport. Nazywał się Rappaport. Zawadziliśmy o San Sebastian na pograniczu hiszpańsko-francuskim i — jakże by inaczej, — poszliśmy na walkę byków. W owych czasach, panie nosiły długie suknie z "trenami", a kapelusze miały przypięte do włosów — szpilkami. Jakiś siynny Don Carlos czy Manuel, nadział byka na rożen. Rozpętało się "pandemonium". Siedzące obok nas dwie senhority, zaczęły krzyczeć, rzucać się na wszystkie strony, torebki i parasolki leciały na arenę. Siedziałem pomiędzy Nowakowskim a Rappaportem i boki miałem ubezpieczone, natomiast Carmencita siedząca obok Rappaporta — oszalała. Szpilka, którą był przytrzymywany na głowie kapelusz, kłuła go bez pardonu po szyi i policzkach.

W końcu cierpliwy Rappaport, miał tego dosyć. Na całą arenę ryknął:

— Nie pikaj pani mnie, pikaj — bika!!!
— Nie mówi się "pikaj", tylko "pikuj"
— poprawił go sumiennie pan Nowakowski. — A to nieszczęśliwe stworzenie, które pikador naszpikował na pikę, nie nazywa się "bik" tylko byk.

— To się pan profesor zmień na siedzenie... — uwarunkował Samcio Rappaport, poprawę wymowy zmianą niebezpiecznego miejsca obok Carmencity.

Ala, zmiana siedzenia okazała się zbytęczną. Przerażona tą czysto słowiańską mową, Carmencita zamilkła i siedziała do końca szlachetnie jak trusia.

* * *

Przeczytawszy ostatnie gazety, pomyślałem sobie, że pomimo całej ohydy, bestialstwa i bezsensu walka byków jest szlachetnym sportem. W ciągu kilku ostatnich lat zatłuczono pięściami na ringach bokserkich tylu zawodników ile byków pada w ciągu sezonu w San Sebastian, Madrycie i Walencji razem wziętych. W samej Anglii tylko padli: Alex Murphy, Mickey Morphey, Honore Pratosi, Mickey Johnson, Bobby Callaghan, Jimmy Elliot. Lista trupów wyniesionych z amerykańskich ringów zajęłaby całą kolumnę pisma. Nie byłoby już miejsca na poruszenie — reflektorem.

Nie byłem nigdy na meczu bokserkim. Tych czytelników którzy byli, uprzejmie proszę o wyjaśnienie mi, na czym polega przyjemność patrzenia na zabijanie pięściami człowieka?

których i tam, niestety, nie brak. Odmałwał funduszy na powołanie do życia armii.

Zamach stanu, którego ofiarą stał się ten dzielny i świadomy swych obowiązków szef rządu zabity przez podoficerów rozwiązanej przez niego pokolonialnej formacji wojskowej, zasługuje na najostrejsze potępienie. Wielka to szkoda dla Togo, dla całej Afryki i dla Brazylii.

STANISŁAW FISCHLOWITZ

Rewolwer, sztylet, bomba atomowa, ale — piśść? I proszę mi także łaskawie wytłumaczyć, co za funkcje spełnia trzeci facet ringu, rozpychający od czasu do czasu młócących się po wątrobach, szczękach i skroniach nieszczęśników?... Mój dziesięcioletni sąsiad, Leonello, powiedział, że to... sędzia.

Jestem pewien, że się pomylił.

* * *

Na łamach prasy całego świata toczy się zacięta dyskusja: palić czy nie palić. Spowodowało ją społeczeństwo lekarzy, że nadmierne palenie tytoniu powoduje raka płuc.

Nie jestem doktorem medycyny (coś ostatnio za często jestem pacjentem) i nie mogę wydać na ten temat fachowej opinii. Cała ta polemika przywodzi mi na pamięć mojego Wuja.

Otóż, Wuj był mężczyzną znakomicie zbudowanym, krępy i tęgim. Jak na mój gust szyję miał nieco przykrótką. Wujaszek palił co mu do ust wpadło: papierosy, cygara, fajkę. Pewnej jesieni, lekarze zabronili mu palić. Wuj na przód ssał landrynki, potem przerzucił się na żucie amerykańskiej gumy, dostał szalonego apetytu.

Cóż to był za apetyt! Na śniadanie wychylał angelkę koniaku, pochłaniał galaretkę z nóżek wieprzowych, polaną obficie octem i oliwą, polykał połów boczku świńskiego z chrzanem i korniszonami albo kilkoma ogórkami monasterskimi, popijał to kawą ze śmietanką zagryzając razowym chlebem z masłem i twarogiem, którego pełna salaterka pusta była po śniadaniu. Niechże to preludium zwolni mnie od opisywania co działo się podczas obiadu i kolacji.

W ciągu zimy Wuj utył, przybyło mu kilkanaście kilo. Na wiosnę dostał ataku apoplektycznego i wyzionął ducha.

Palić? — rak płuc. Nie palić? — atak apoplektyczny.

A, dajcie mi spokój!...

* * *

A teraz coś, dla uspokojenia wzburzonych nerwów.

W Geronie, rodzina Pedra Peguesa posiadała piękny stary dom.

Ganek domu podpięrały cztery strzeliste drewniane kolumny. Pasąca się swobodnie klacz Pedra miała zwyczaj trzeć się o jeden z filarów. W ubiegłym miesiącu klacz potarła się nieco za mocno, kolumna runęła i pociągnęła za sobą cały dom który się zwał na głowy rodziny Peguesów. Wszyscy odnieśli — nieszkodliwe zresztą — obrażenia. Poza Pedrem. Z ruin wynurzyła się świeża jak różyczka o poranku teściowa i spoliczkowała Pedra obustronnie.

— A mówiłam ci leniu jeden, żebyś czyścił klacz uczciwie! — przypomniiała. Pedro powlókł się do dentysty. Miał wybite sześć zębów.

Przysięgiem sobie, że nigdy nie wspomnę o teściowej w swoich pogaduszkach. Darujcie znajcie!

* * *

William Quinn z San Diego w Kalifornii, miał przykrą niespodziankę: rano, przed domem znalazł swój samochód, który przed miesiącem został mu ukradziony. Pod kierownicą przyczepiona była kartka, napisana przez złodzieja.

"Żona moja narzeka, że tylne siedzenie pańskiego samochodu jest niewygodne. Radio skrzeczy aż uszy puchną. Świece są stare i miałem kłopot z uruchomieniem motoru."

Tak sobie pomyślałem, że gdyby ten złodziej ukradł mojego "Prefekta", marny byłby mój los.

Zabiłby mnie z całą pewnością.

* * *

Poważne rozczarowanie mieli słuchacze na pewnej akademii. Mówca tak głądził, że wszyscy powychodzili z sali. Pozostał tylko jeden nieszczęśnik. Po zakończeniu głądzenia mówca podszedł do niego.

— Skoro mnie szanowny pan wysłuchał do końca, — powiedział — to moja przemowa nie była zmarnowana...

— Ktoby pana słuchał! — wzruszył ramionami cierpliwy uczestnik akademii. — Ja jestem następnym mówcą...

Mój wuj, cierpiący na chroniczną bezsenność, biegał z akademii na akademię. W martwym sezonie przedwojennym uciekł do Genewy. Był człowiekiem zamownym i mógł sobie pozwalać na takie wycieczki. Twierdził, że najlepiej się śpi na galerii Ligi Narodów podczas plenarnych posiedzeń, ale i krajowe uroczystości zapewniały mu parę godzin wzmacniającego snu.

* * *

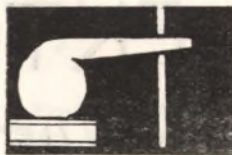
Polonica: W londyńskim tygodniku "Woman" (Nr. 1343, 9-II-63) ukazał się list Polki, panny P. B. (London N. 19) w którym pisze:

"Rozpacz mnie oparnia, kiedy słucham mojego małego braciszka, mówiącego mieszaniną angielskiego i polskiego. Pewnego dnia uradowałam się niezmiernie kiedy poszedł się bawić ze swoim angielskim rówieśnikiem. "Może nareszcie zaczniesz lepiej mówić po angielsku! — pomyślałam.

Jakież było moje zdumienie, kiedy po pewnym czasie, "angielski rówieśnik"



Frydman — woj. krakowskie — kościół z wieżą obronną zbudowany w XIII-XIV wieku.



W ŚWIECIE NAUKI — W ŚWIECIE NAUKI —

TAJEMNICE MÓZGU

W warszawskim Instytucie Biologii Doświadczalnej prowadzone są od pewnego czasu niezwykle interesujące doświadczenia nad badaniami mózgu izolowanego i nad odruchami warunkowymi powstającymi pod działaniem bodźców zewnętrznych. Doświadczenia te, mające wielkie znaczenie dla fizjologów, zajmujących się już od dawna problemami wyższych czynności nerwowych, jako jedyny w Polsce prowadzi adiunkt Instytutu dr Bogusław Żernicki, należący do kadry młodych polskich naukowców. Prace swoje w tym kierunku rozpoczął przed kilkoma laty we włoskim Instytucie Fizjologii w Pizie, gdzie prof. Moruzzi udało się po raz pierwszy w dziejach nauki — otrzymać mózg izolowany. Jego czynność bioelektryczna przypominała czynność normalnego mózgu. Obecnie dr Żernicki z powodzeniem kontynuuje rewelacyjne doświadczenia włoskiego uczono, przeprowadzane głównie na kochach, gdyż te właśnie zwierzęta używane są przez fizjologów w doświadczeniach dotyczących fizjologii mózgu w ogóle, a odruchów warunkowych w szczególności.

Jak poinformował nas dr Żernicki, do tej pory zostały zrobione właściwie dwie rzeczy: pierwsza to było utrzymanie przy życiu izolowanego mózgu i w tej chwili można go utrzymać tak długo, jak to jest potrzebne, chociaż okres ten zazwyczaj nie przekracza miesiąca.

przyszedł do mnie i zaczął mówić wcale poprawnie po... polsku.

Redakcja tygodnika dodała do tego listu komentarz:

"Brawo! Ten chłopiec jest żywym zaprzeczeniem powszechnej opinii, że Anglicy nie są zdolni do nauczania się chociażby jednego obcego języka".

Gdyby mnie było stać na to, sfinansowałbym podróż obu wymienionych chłopczek do Brazylii. Możeby nauczyły mówić zrozumiale w języku ojczystym, te dzieci naszych emigrantów, które odpowiadają na "Dzień dobry" — "Não compreendo, Senhor..."

* * *

Jeśli ktoś jest za wesoły i pragnie posmutnieć, radzę mu przeczytać "Kącik humoru" w pismach angielskich. Oto kilka próbek:

Dyrektor: — "Przykro mi nie mogę pana zatrudnić. Nie potrzebujemy teraz pomocy".

Kandydat na posadę: — "Ależ ja nie mam zamiaru pomagać, panie dyrektore".

Klient w sklepie: — "Pan powiedział, że ta papuga będzie powtarzała każde słowo..."

Sprzedawca: — "Tak jest, tylko ona jest kompletnie głucha".

Pułkownik do sierżanta: — "Co pan robi, gdy koszary się zapalą?"

Druga sprawa, to ustalona już możliwość wytwarzania odruchów warunkowych i to stosunkowo łatwo. Opisując sam przebieg przeprowadzania eksperymentu, dr Żernicki wyjaśnia, że po zabiegu operacyjnym mózg pozostaje nadal w czasie zwierzęcia. Przeprowadza się kompletną izolację, odcina mózg od reszty układu nerwowego, natomiast pozostaje on połączony nadal z naczyniami krwionośnymi, z resztą preparatu, który gra rolę już tylko żywiciela własnego mózgu.

Bardzo istotny jest poziom, na którym przeprowadza się cięcie operacyjne, dlatego że nie tylko mózg izolowany musi być w dobrej formie, ale również żywiciel jego musi przebywać w dobrych warunkach, ponieważ żywiciel odżywia mózg. Określone ośrodki nerwowe muszą pozostać przy mózgu izolowanym, inne przy żywicielu w tej części układu nerwowego, która pozostaje razem z korpusem zwierzęcia. Opracza jest wykonywana w odpowiednim aparacie, gdzie przy pomocy śrób mikrometrycznych dokładnie ustala się wymiary cięcia chirurgicznego. Zwierzęta znajdują się w specjalnych inkubatorach z termoregulacją, są odżywiane w sposób sztuczny i wykonuje się z nimi szereg zabiegów pielęgnarskich. Interesująco przedstawia się kontakt z operowanym zwierzęciem, które jest kompletnie znieczulone i unieruchomio-

Sierżant: — "Wydam rozkaz: zaprzestać ognia!"

Dyrektor: — "Człowiek który nie może się wysłowić jest idiotą. Czy pan to rozumie?"

Kandydat na posadę: — "Nie, panie dyrektore".

Pierwszy znajomy: — "Pan mówi, że pański pies, jest psem policyjnym; wcale mi na takiego nie wygląda".

Drugi znajomy: — "No tak, bo on nie jest teraz na służbie".

Spiakać się ze śmiechu!...

* * *

Zanim postawię kropkę, jazda refleksyjnie po pogodnym zagadnieniu.

W ub. roku Stany Zjednoczone przyznały Polsce pomoc w wysokości 522 milionów dolarów. Jugosławia dostała przeszło trzy razy więcej.

Czy wiecie, szanowni czytelnicy jak obrot roczny mają pionierzy gier hazardowych w Stanach Zjednoczonych, t. zw. "bookmakerzy"?

50 bilionów dolarów.

Tę cyfrę podała Komisja Senackiej w Waszyngtonie, "Internal Revenue" za rok ubiegły.

W czasach "Aliança para o Progresso" można się nieźle bawić. "No, nie?" jakby powiedział mój przyjaciel Wojciech Kaczmarek, kelner u Strzelczyka w Poznaniu...

Henryk Przyborowski.

ANTYMATERIA

Wszystkie pierwiastki, z których powstał świat przyrody martwej i żywej, zbudowane są według jednego prostego wzoru. Atom dowolnej substancji składa się z jądra wyposażonego w dodatni ładunek elektryczny i ujemnie naładowanych elektronów wokół jądra krążących.

W najprostszym z pierwiastków — wodrze — jądro zawiera tylko jeden proton, a obiega je jeden elektron. W jądrach atomów

ne oraz sposób reagowania takiego zwierzęcia na bodźce zewnętrzne

Mózg izolowany po operacji posiada nadal nerwy wzrokowe i węchowe. Tak więc mózg odczuwa zapachy i widzi. Można się o tym przekonać, jeżeli n. p. kotu, a właściwie mózgowi izolowanemu kota, pokażemy mysz. Widzimy wówczas rozszerzenie źrenic i ruch gałek ocznych zwierzęcia w kierunku tej myszy. Ale to jest oczywiście nie koniec, gdyż, jak powiedział dr Żernicki, można badać prądy czynnościowe z dowolnego miejsca mózgu i drażnić samymi prądami elektrycznymi dowolne jego punkty, tak że kontakt jest bardzo szeroki. Dzięki znieczuleniu i unieruchomieniu zwierzęcia, badania te polegają na drażnieniu i odbieraniu prądów czynnościowych są w tym preparacie szczególnie łatwe do przeprowadzenia.

— Zapytaliśmy z kolei jakie znaczenie mogą mieć — oczywiście w przyszłości — te doświadczenia z mózgiem izolowanym dla medycyny?

Dr Żernicki oświadczył: "Fizjologia mózgu bardzo się teraz rozwija. Chyba 50 proc. badań fizjologicznych w ogóle — to fizjologia właśnie mózgu. Tym niemniej na skutek złożonych zagadnień i trudności metodycznych pozostaje ona wyraźnie w tyle za innymi działaniami fizjologii, co odbija się ujemnie na dyscyplinach medycznych na psychiatrii, neurologii, neurochirurgii itd. To też każde nowe osiągnięcia metodyczne, które ułatwia pracę w zakresie fizjologii mózgu, jest oczywiście bardzo cenne.

Dla medycyny może to mieć zasadnicze znaczenie, gdyż w mózgu ludzkim pozostało jeszcze wiele białych plam, zwłaszcza jeżeli chodzi o wyższe czynności nerwowe. Sposoby badania tych białych plam są różne. Należy sądzić, że właśnie mózg izolowany pozwoli na stosunkowo szybkie odpowiedzi na niektóre z pytań drzemających w tych nieznanach jeszcze obszarach".

Warto nadmienić, że pracownia warszawska jest obecnie największym w Europie ośrodkiem badań tego typu. Dr Żernicki pracuje nad mózgiem izolowanym wspólnie z mgr. Drejerem, a doświadczenia ich wywołały ogromne zainteresowanie instytutów naukowych za granicą. Obaj młodzi polscy naukowcy otrzymują mnóstwo listów i zapytań, z czego można wnioskować, że wkrótce szereg innych placówek na świecie zajmie się podjętym przez nich zagadnieniem. W każdym razie warszawski Instytut Biologii Doświadczalnej posiada już niewątpliwie priorytet, jeżeli chodzi o wytworzenie bardziej skomplikowanych form odruchowo-warunkowych, a to dzięki temu, że polskim fizjologom udało się utrzymać mózg izolowany stosunkowo długo przy życiu. Preparaty włoskie w Pizie żyły tylko kilka dni.

Rozmawiał: Leopold Marschak

wszystkich innych pierwiastków znajdują się obok protonów obojętne elektrycznie neutrony. Poszczególne pierwiastki różnią się między sobą tylko liczbą protonów i neutronów w jądrze oraz liczbą elektronów w powłoce. Wszystkie atomy są pod względem elektrycznym neutralne, ponieważ ładunek dodatni jądra jest równy ujemnemu ładunkowi elektronów.

Do niedawna znaliśmy tylko trzy stany skupienia materii: ciało stałe, ciecz i gaz. W każdym z tych trzech stanów budowa atomów jest niezmienna, natomiast zmienia się prędkość ich ruchu. W ciele stałym wszystkie atomy rozmieszczone są w ściśle określonych punktach, poruszając się wokół tych punktów. W cieczach ruch atomów i cząsteczek jest swobodniejszy, a w atomach i cząsteczkach substancji gazowej jeszcze bardziej swobodny i nieuporządkowany. A gdyby zerwać z atomów powłokę elektronową — wówczas cząsteczki gazu z takich atomów złożone będą jeszcze bardziej ruchliwe.

"Mieszaninę" nie związanych z sobą jąder i elektronów nazywamy plazmą. Jest to czwarty stan skupienia materii. W plazmie współistnieją dodatnio naelektryzowane jądra i ujemnego znaku elektrony. Jedne i drugie występują samoistnie, ale ładunek plazmy jako całości jest równy zeru.

Mamy więc cztery stany skupienia. W pierwszych trzech (ciało stałe, ciecz, gaz) struktura samych atomów nie zmienia się, w czwartym — atomy są zdeformowane, pozabawione elektronów. Ale we wszystkich czterech stanach skupienia materii ładunki elektryczne elektronów i protonów są identyczne.

A gdyby zmienić ładunki elektryczne tak, aby protony niosły ładunek ujemny, a elektrony — dodatni?

Opierając się na przesłankach teoretycznych, uczony angielski P. Dirac wskazał na możliwość istnienia elektronów o ładunku dodatnim, czyli pozytonów. W 1932 r. fizyk amerykański Anderson dowiódł tego eksperymentalnie. W doświadczeniu posłużył się metodą rejestracji promieni kosmicznych, opracowaną przez uczonego radzieckiego Skobelcyna i wykrył pozytony w strumieniu tych promieni.

Dirac założył wówczas, że skoro istnieje elektron dodatni, musi istnieć także antyproton, to znaczy cząstka o masie równej masie protonu, ale o ujemnym ładunku elektrycznym.

Rozpoczęły się poszukiwania antyprotonu. W maju 1954 r. grupa fizyków Instytutu Technologicznego w Massachusetts pod kierunkiem prof. Bruno Rossi złożyła doniesienie naukowe, że do komory Wilsona (przyrząd do obserwacji torów cząstek) przeniknęła nieznaną dotychczas cząstka kosmiczna. Cząstka ta zderzyła się z mosięzną płytką przyrządu i "wybiła" z niej trzy potężne "porcje" elektronów. Rossi wyraził wówczas przypuszczenie, że ową nieznaną cząstką mógł być właśnie antyproton, który zderzył się z protonem atomu mosiężnej płytki. W wyniku zderzenia antyproton i proton zniknęły, wypromieniowały, przy czym wyzwoliła się ogromna energia. Proces całkowitej przemiany wzajemnie oddziałujących cząstek w promieniowanie nazwano anihilacją.

Zaledwie parę tygodni po oświadczeniu Rossi'ego pojawił się w amerykańskim tygodniku "Time" artykuł p. t. "Czy istnieje proton ujemny?" Autor pisał:

— "Przypuszcza się, że gdzieś we wszechświecie istnieją gwiazdy, a może całe plejady gwiazd zbudowanych z antymaterii. Stąd wylatują antyprotony w przestrzeń kosmiczną, gdzie błędą być może przez miliardy lat,

póki nie zderzą się z protonami — jak to się zdarzyło w doświadczeniu Rossi'ego — i ulegną anihilacji..."

W r. 1955 fizyk amerykański Segré otrzymał sztucznie antyprotony na wielkim akceleratorze w Berkeley (Kalifornia). Zarejestrowano tu pojawienie się jednego antyprotonu na każde 40.000 protonów.

Po odkryciu antyprotonu wyrażono przypuszczenie możliwości istnienia antymaterii, której atomy zbudowane są z antyprotonów i antyneutronów, a w powłoce krążą pozytony. Zarazem ludzie obdarzeni praktycznym nastawieniem umysłu zaczęli zastanawiać się nad sposobami wykorzystania antymaterii.

Rozważania i obliczenia teoretyczne wskazują, że wyzwalana w procesie anihilacji energia jest tysiące razy większa od energii wydzielanej w procesach rozszczepienia czy syntezy jąder. Energię tę można by wykorzystać praktycznie w następujący np. sposób: — W komorze próżniowej można by umieścić w polu magnetycznym niewielką ilość dowolnego pierwiastka antymaterii, który przez czas dłuższy służyć może jako bardzo silne źródło promieniowania. Wprowadzona do komory substancja (ciecz lub gaz) wskutek wzajemnego oddziaływania z antymaterią przekształcałaby się w promieniowanie fotonowe. Energię promieniowania fotonowego można by wykorzystać bądź bezpośrednio, bądź drogą dalszego przekształcenia w inne postacie energii. To jednakże jest na razie tylko fantazją, chociaż naukową.

Obecnie w wielu krajach, gdzie są do dyspozycji akceleratorzy cząstek jądra, prowadzone są intensywne badania antyprotonów. W Związku Radzieckim na akceleratorze 15 Bev zestawiono specjalny separator od oddzielania antyprotonów od innych cząstek jądra tworzących się w komorze akceleratora.

Potężny akcelerator i urządzenie specjalne — separator, który w każdym impulsie oddziela dziesiątki antyprotonów, pozwolą wytwarzać antyprotony metodami "przemysłowymi". Obecnie budowany jest w Związku Radzieckim akcelerator, w którym cząstki przyspieszane będą do olbrzymich energii — 70 miliardów elektronowoltów, co pozwoli znakomicie rozszerzyć front badań naukowych.

Pierwszą cegielkę antymaterii otrzymano zaledwie 7 lat temu. W ciągu tych 7 lat fizyka wysokich energii dokonała wielu nowych odkryć. Liczba znanych cząstek jądra urosła do 32. To utwierdza nas w przekonaniu, że człowiek nie tylko rozwiąże problem "przebudowy" atomów, ale nauczy się wytwarzać antymaterię w dużych ilościach i skuteczniej wykorzystywać energię nagromadzoną przez przyrodę w głębiach materii.



Telewizja amerykańska zamawia filmy w Polsce. Na zdjęciu scena z filmu: "Hiavatha" wg poematu Henryka Longfellow.

Tajemnice naszego sąsiada M A R S A

Wysłanie przez Sowiety rakiety w kierunku Marsa ożywiło znowu dyskusje dotyczące tej tajemniczej planety.

Kiedy w końcu XIX w. astronom włoski G. V. Schiaparelli wykrył na powierzchni Marsa kanały zaczęto mówić o istnieniu na tej planecie rozumnych istot. Potem poddano to odkrycie w wątpliwość. Twierdzono, mianowicie, że jest to tylko złudzenie optyczne, któremu ulegają ci, którzy obserwują planetę przez małe teleskopy. Nie wydaje się jednak, żeby tego rodzaju opinia była dostatecznie umotywowana.

W tym samym roku, kiedy odkryto kanały, Amerykanin Hall dokonał jeszcze jednego sensacyjnego odkrycia, że Mars posiada dwa księżyce — Phobos i Deimos. Posiada ją one około 10 km średnicy i okrążają planetę w niewielkiej odległości, jeden w ciągu 7 godzin i 39 minut, drugi w 30 godzin i 18 minut.

Księżyce te stanowią jedną z najbardziej pasjonujących zagadek astronomicznych. Wspominają już o nich bowiem w starożytności, zaś Swift w swych "Podróżach Guliwera", napisanych ponad 50 lat przed odkryciem Halla, stwierdza wręcz, iż Mars posiada 2 księżyce, które okrążają go, jeden w 10, drugi w 21 godzin.

Stwierdzono niezbiecie, że za czasów Swifta nie istniały jeszcze absolutnie żadne możliwości techniczne dokonania tego odkrycia. Skąd więc Swift wiedział?

Z księżycami Marsa wiąże się jeszcze jedna zagadka. Ich orbity nie dadzą się wytłumaczyć naturalnymi prawami ruchu planet. Po długich badaniach rosyjski uczony prof. Szklowski doszedł do wniosku, że muszą być one wewnątrz puste, gdyż są niewytłumaczalnie lekkie. Stąd już tylko krok do hipotezy, że mogły być stworzone przez istoty rozumne. Oczywiście hipoteza prof. Szklowskiego ma wielu przeciwników. Ale faktem jest, że zarówno kanały jak i "puste" księżyce stanowią zagadkę nie lada, gdyż wyłamują

się z naszych dotychczasowych ustaleń na temat budowy najbliższych planet.

Astronomowie podzielili powierzchnię Marsa, ze względu na jej wyraźną niejednorodność, na lądy i morza. Morza uważane są za bardziej wilgotne obszary na których istnieje roślinność. Jaka to roślinność, trudno jeszcze dziś określić. Wiadomo, że temperatura Marsa, dochodząca latem na niektórych obszarach do + 40 stopni C w dzień i nie przekraczająca — 50 stopni Celsjusza w nocy, umożliwia istnienie świata organicznego. Mars otrzymuje od słońca około połowy ciepła otrzymywanego przez Ziemię. Ponieważ posiada atmosferę, która się nagrzewa, ciepło to może być w jakiś sposób akumulowane. Stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że płamy na Marsie, a szczególnie na jego morzach, zmieniają swój wygląd zgodnie ze zmianą pór roku na planecie. Zimą są one szare i niewielkie. Z nastaniem wiosny przybierają barwę zieloną i rozszerzają się znacznie, jesienią żółkną i brązowieją. Wyciągnięto z tego logiczny wniosek, że zmiany te spowodowane są procesem vegetacji roślinnej. Zaś gdzie istnieje świat roślinny, zapewne istnieją także bakterie i wirusy. A jeśli tak, to dlaczego nie inne niższe formy życia? A czy tylko niższe?

O związku kanałów marsjańskich z życiem organicznym i klimatem planety ciekawe rzeczy pisze rosyjski uczony prof. Barabaszow. Twierdzi on, że większość kanałów daje się zaobserwować tylko w określonych porach roku. Prawie niedostrzegalne są one w czasie zimy. Jednak, kiedy na jakiejś półkuli następuje wiosna, najpierw pojawiają się kanały bezpośrednio przylegające do śnieżnych czy lodowych czapek otaczających marsjańskie bieguny. Potem występują w strefie umiarkowanej, wreszcie w okolicy równika.

Prof. Barabaszow wysuwa z tego wniosek, że kiedy pod wpływem ciepłych promieni słonecznych lodowa, czy śniegowa pokrywa wokół biegunów zaczyna tajać, wilgoć wpływa na rozwój roślinności i ten rozwój rozszerza się jakby w postaci rzek. Za tą hipotezą przemawiałyby także fakt, że kanały pojawiają się dopiero po 10 - 15 dniach od rozpoczęcia "roztopów".

Za tę, że na Marsie istnieje roślinność przemawia także fakt, iż jak stwierdzono, większość obszaru planety pokrywa czerwony pył, przypuszczalnie tlenek żelaza. Pył ten pod wpływem wiatrów przemieszcza się z miejsca na miejsce. Jeśli nie byłoby roślinności pokryłaby on całą powierzchnię Marsa.

Tak więc istnienie roślinności na tajemniczej planecie naukowcy zgodnie uważają za prawie udowodnione. Jeśli zaś chodzi o wyższe formy życia, wszystko nadal pozostaje w sferze spekulacji.

7 dni pod wodą

Przez 7 dni i nocy dwaj francuscy badacze głębin morskich Albert Falco i Claude Vesslie przebywali pod wodą na głębokości 10 metrów w Morzu Śródziemnym w pobliżu Marsylii. Przez cały ten czas "mieszkal" oni w specjalnie zbudowanym podwodnym domu z wszelkimi wygodami: mieli łóżka, telewizor i oddzielną kuchnię dla przygotowywania pożywienia. Łączność z lądem utrzymywali za pomocą telefonu.

Celem eksperymentu było uzyskanie nowych danych o warunkach życia pod wodą. Jak podkreśla agencja France Presse, eksperyment ten może umożliwić nowe rozwiązania w budownictwie tuneli i mostów, a prawdopodobnie także w dziedzinie podwodnego remontu statków.

Nikiel i Kobalt z żużla

Zespół naukowców katedry metaloznawstwa Politechniki Warszawskiej, pracujący pod kierownictwem prof. dr K. Wesołowskiego, uzyskał po wieloletnich pracach laboratoryjnych pozytywne wyniki w przeróbce ubogich krajowych surowców na cenne dla hutnictwa metale: nikiel i kobalt. Znajdują one zastosowanie w wielu dziedzinach techniki i są niezbędne jako składnik wielu gatunków stali szlachetnych, odpornych np. na szkodliwe działanie substancji chemicznych.

Odkryte w naszym kraju ubogie krzemianowe rudy niklu nie nadawały się dotychczas do przeróbki hutniczej znanymi dawniej sposobami, ze względu na zbyt małą zawartość metalu. Drugim źródłem surowca dla nowej metody są hałdy żużli, zawierające — jak np. wysypiska obok zakładów górniczo-hutniczych "Szklary" w Szklarach Śląskich — ok. 2,5 mln ton żużla nadającego się obecnie do przeróbki. Sam tylko roczny przyrost tej hałdy: 200 tys. ton żużla, zawiera przeszło 500 ton niklu i około 25 ton kobaltu.

Nowa metoda, wypróbowana na skalę techniczną w hucie "Szczecin", pozwala otrzymać z ubogiej rudy żużla 35-procentowy koncentrat metali. W dalszej przeróbce uzyskuje się obydwie metale w czystej postaci, przy czym wykorzystane zostaje ponad 90 proc. ich zawartości w surowcach.

PRZESZŁOŚĆ A TERAŹNIEJSZOŚĆ — PRZESZŁOŚĆ A TERAŹNIE

ZNAKOMITE KARŁY

Dzięki malutkiemu wzrostowi zyskał światową sławę karzelek Tomcio Paluch, który występował w słynnym amerykańskim cyrku Barnum i przewędrował z nim pół kuli ziemskiej. Popularność zawdzięczał przede wszystkim świetnej reklamie właściciela cyrku Barnuma. Potrafił on pod swój cyrkowy namiot, swego czasu największy na świecie, przyciągnąć niezliczone tłumy widzów. W historii zapisały się jednak karły, które poza małym wzrostem odznaczały się jeszcze dodatkowymi przymiotami.

Może na pierwszym miejscu należy tu wymienić polskiego szlachcica Jana Krassowskiego. Mimo maleńkiego wzrostu odznaczał się inteligencją i sprytem. Stał się ulubieńcem królowej francuskiej Katarzyny Medycejskiej, jak również królów francuskich Franciszka II i Karola IX. Krassowski gdzieś około 1570 r., gdy już liczono się ze śmiercią króla Zygmunta Augusta, został wysłany do Polski z tajną misją, aby przygotować elekcję Henryka Walezjusza na tron polski. Wywiązał się świetnie z powierzonego mu zadania. Cieszył się też na dworze królewskim w Krakowie nieograniczonym zaufaniem Henryka Walezjusza. Krassowski przygotował też ucieczkę króla Henryka do Francji. Wrócił później sam do Francji i tutaj życia dokonał.

Przez długie wieki karły należały nieodwołnie do dworzan królewskich i książ-

zęcych. O jednym z książąt Medyceuszów zapisano, że miał na swoim dworze aż kilkadziesiąt karłów. Królowa Barbara Radziwiłłówna miała karła Okulę przywiezionego z Litwy. Król Zygmunt III Waza miał ośmiu karłów, wszyscy pochodzili ze Żmudzi. Kardynał Bernard Maciejowski, arcybiskup gnieźnieński zmarły w 1602 r. miał karła Głowę, który na jego dworze był blaznem, nie tak poprawda dobrym jak sławny blazen królewski Stańczyk. Król Stanisław Leszczyński, gdy opuścił Polskę i rezydował w Lunewille, miał karla Bébé. Był to Francuz i cieszył się takim powodzeniem u dam dworskich, że umarł z wycieńczenia, nie dożywszy lat trzydziestu. W wielkiej Encyklopedii, którą wówczas wydano, zamieszczono o karle Bébé spory artykuł. Król Stanisław Leszczyński wystawił mu nagrobek, a szkielet karla, odpowiednio spreparowany, przechowywano w bibliotece królewskiej.

Jednakże najslawniejszym karłem był niewątpliwie szlachcic polski Józef Barusławski. Napisał on pamiętniki, które swego czasu były bardzo czytane. Urodził się w 1740 r. jako syn drobnego szlachetki, gdzieś na Pokuciu. Miał 28 cali wzrostu. Cał warszawski miał około 2,4 cm, czyli, że Barusławski nie miał nawet 70 cm. Wzięła go na swój dwór pani miecznikowa Humiecka, krewna króla Jana Sobieskiego. Ponieważ karzelek miał postać foremną i był roztargnięty, więc nauczono go ładnie na pokaz tańczyć o-

raz pisać i paplać po francusku. Pani miecznikowa przybrała go w mundur porucznika regimentu Wielkiej Buławy Konnej i wybrała się z nim w wojaż po Europie. Największe salony oraz królewskie i książęce dwory prosiły o jej wizyty w towarzystwie karla. Królowie i wielkie damy chciały mieć na kolanach i popieścić to niby małe kształtne dziecko, które było już dorosłym mężczyzną. Trzeba przyznać, że karzelek Borusławski był dowcipny i umiał się znaleźć na cesarskim dworze. W Wiedniu cesarzowa Maria Teresa, zachwycona jakimś polskim tańcem, którym się Borusławski popisywał, wzięła go na kolana, całowała i zapytała, czy poznał już osobliwości Wiednia. Na to nasz karzelek: "Widziałem wiele rzeczy godnych podziwu w tym pięknym mieście, ale nie równego temu, co w tej chwili widzę" Cóż to takiego? — pyta zaciekawiona cesarzowa. "Nie jest to rzecz dziwna — brzmiała odpowiedź Borusławskiego — widzieć tak maleńkiego człowieka jak ja, na kolanach tak wielkiej monarchini". Oczywiście, że oprócz nowej porcji całusów za tak zreczną odpowiedź Maria Teresa podarowała karlowi jakiś kosztowny upominek. Gdy pani miecznikowa Humiecka znalazła się z Borusławskim u króla Stanisława Leszczyńskiego w Luneville, karzelek Bébé zapalał wielką zazdrością o swego kolegę uważając, że Borusławski cieszy się większymi od niego względami na dworze. Gdy się znalazł z nim sam w pokoju, usiłował go wepchnąć w ogień palący się na kominku i dopiero sam król, zwabiony krzykiem, wyratował Borusławskiego z opresji. Aplauz wielki zyskał nasz karzelek również na dworze wersalskim, a do Encyklopedii Francuskiej napisał o nim artykuł hr. de Tresau. Gdy wrócił do Warszawy Borusławski poczuł się nagle mężczyzną. Miał już lat przeszło czterdzieści. Zakochał się w Izalince Barbon-tan, pannie respektowej pani Humieckiej. Na gwałt zdecydował się zenić. Obydwoje sprzeciwiły się tym planom. Izalinka nie pragnęła tak małego męża, a pani Humiecka nie chciała utracić karla, który przysparzał jej dworowi tyle sławy. Cała Warszawa żywo interesowała się, jaki obrót sprawa przybierze. Gdy król Stanisław August przyznał karzełkowi rocznej pensji 120 dukatów, zmiękło serce Izalinki. Zgodziła się na mariaż. Doczekali się trojga normalnych dzieci. Wyjechali z Warszawy znów w wojaż. Karzelek zarabiał występami w wielu miastach i nieźle grał na skrzypcach. Lekcje brał jeszcze w Paryżu z namowy hetmana Ogińskiego. Zona bodaj dla zwrócenia uwagi, nosiła go nieraz idąc na spacer na rękę niczym małe dziecko.

Zamieszkali wreszcie w Anglii. Izalince sprzykrzył się jednak zbyt mały mąż, wróciła z dziećmi do Polski. Borusławski został w Anglii. Wydał tu w Londynie w 1788 r. pamiętniki po francusku i angielsku pod wspólnym tytułem: "Memories of the celebrated dwore Joseph Boruwalwski a Polish gentelman". Wido-cznie nazwisko "Borusławski" za trudno było wymawiać Anglikom. Zmienili nazwisko karla na "Boruwalwski".

Borusławski zmarł w Anglii w Durham w 1837 r.; dożył prawie 98 lat. Pochowany jest w katedrze w Nine-Altars. Portret jego znajduje się w zbiorach w British Muzeum.

Stanisław Szeniec.

HENRYKA PUSTOWÓJTÓWNA, Bohaterka Powstania Styczniowego

Sto lat temu, gdy w styczniu 1863 r. Polacy chwycili za broń, by rzucić jarzmo caratu, kobiety polskie wspierały zbrojną walkę gorącymi modłami, zbieraniem dańków na cele powstania, daniem szarpi i pielęgnowaniem rannych. Daleka była jeszcze droga do emancypacji kobiet i było nie do pomyślenia, aby kobiety — tak jak w okresie drugiej wojny światowej — na równi z mężczyznami walczyły w oddziałach partyzanckich. Toteż w dziejach Powstania Styczniowego złotymi gloskami zapisane jest nazwisko dziewczyny, która przybrawszy strój męski, dzielnie stawiała w walkach. Była nią Henryka Pustowójtówna. Ojciec jej, Teofil Pustowójtów, był rosyjskim generał-majorem, wicegubernatorem lubelskim, matka, Marianna Kossakowska, była Polką, córką polskiego majora. Henryka urodziła się w 1838 r. w Wierchowiskach w gubernii lubelskiej, wychowanie otrzymała w szlacheckim instytucie dla panien w Puławach. Henryka pod wpływem matki przesiąknięta gorącym patriotyzmem polskim brała czynny udział w manifestacjach patriotycznych w 1861 r. w w Lublinie. Zaareztowana — ojciec jej zmarł w 1858 r. — zostaje skazana na osadzenie w klasztorze prawosławnym, władze, jako córkę rosyjskiego generała, mimo jej gorących protestów, uznają ją za prawosławną. Pod koniec 1861 r. udaje się jej zbiec z klasztoru, ucieka na Multany, później mieszka w Bukareszcie. Gdy wybuchło Powstanie Styczniowe przedziera się do Polski i zgłasza się do oddziału Langiewicza, który mianuje ją swoim adiutantem. Ubrana po męsku, w krótką czarną bramowaną koleszkę, w szerokie, szare spodnie, koszulę czerwoną z podwójnym kołnierzykiem i w wysokie buty sięgające aż do kolan, Pustowójtówna przebyła przy boku Langiewicza całą kampanię, odznaczała się wielką odwagą, biorąc udział w szeregu potyczek i bitew. Gdy korpus Langiewicza w dniu 19 marca 1863 r. zmuszony jest przejść do Galicji, Pus-

towójtówna przekracza granicę przy boku dyktatora, który legitymuje się paszportem wystawionym przez szwedzko-norweskie poselstwo w Paryżu i opiewa na nazwisko Aleksandra Waligórskiego i jego syna Władysława Tym rzekomym synem była Henryka Pustowójtówna. Władze austriackie na skutek nieostrożności któregoś z uchodźców zorientowały się, kto ukrywa się pod przybranymi nazwiskami. Langiewicz został osadzony w więzieniu, Pustowójtówna niebawem wypuszczona na wolność udała się do Pragi. Zrzuca swój uniform i jak szlachcianki polskie w okresie powstania przywdziewa na znak żałoby ciemny strój kobiecy z czarną gęstą woalką. Przyjmowana jest wszędzie z entuzjazmem. Ukazują się jej fotografie w publicznej sprzedaży; jest na nich w mundurze, z rewolwerem za pasem, trzymając rękę na rękojeści szabli. Przed nią na ziemi leżą konfederatki i rusznice. Kompozytor czeski A. Jan Swoboda dedykował polskiej rewolucjonistce polkę "Biwak" i "Żołędny marsz za poległych wojowników polskich" na fortepian. Polka "Biwak" w krótkim czasie osiągnęła trzy wydania. Pustowójtówna pilnie śledzona przez policję, rozwija gorączkową działalność za uwolnieniem uwięzionego dyktatora. Usiłowania spaliły jednak na panewce i Langiewicz został wypuszczony dopiero w marcu 1865 roku. Wyjechał do Szwajcarii i osiedlił się następnie w Turcji. Pustowójtówna widząc, że jej starania nie dają rezultatu, już w lipcu 1864 r. opuściła Austrię udając się do Francji. Osiadła w Paryżu, gdzie rząd francuski przyznał jej niewielką rentę roczną. Trudniła się wyrobnictwem sztucznych kwiatów. Gdy wybuchła wojna prusko-francuska, Pustowójtówna odznaczała się jako sanitariuszka podczas oblężenia Paryża i zostaje udekorowana francuskim krzyżem wojskowym. W 1873 r. zaślubiła lekarza dra Lewenharta. Zmarła 2 maja 1881 roku zachowując w współczesnych żywą pamięć swego bohaterskiego życia. Pochowana została na cmentarzu Montparnasse.

Na gruzach starej cywilizacji

Jak wykazują wyniki ostatnich poszukiwań archeologicznych na obszarze Peru istniała stara cywilizacja, której początki datują się na długo przed Narodzeniem Chrystusa, a więc jeszcze przed wylądowaniem tego kraju przez Inków. Cywilizacja ta uległa zagładzie w wieku XII lub XIII po Chr. w sposób równie nagły co tajemniczy.

INKOWIE

Gdy Pizarro wylądował w Peru zdziwił się niemało widząc, iż trafił do kraju o doskonałej organizacji i ładzie społecznym, jeżeli przyjmemy, że mrowisko lub ul mogą być wzorem struktury państwowej. Na szczycie piramidy znajdował się wszechpotężny Wielki Inka, monarcha dziedziczny, syn Słońca, który dla zachowania czystości krwi żenił się z własną siostrą. Na nieco niższym stopniu piramidy mieszcili się *orellones*, nazwani tak przez Hiszpanów z uwagi na to, że małżowiny uszne mieli wyciągnięte pod ciężarem kolczyków. Jeszcze niżej ulokowana była kasta żołnierzy, a następnie — urzędnicy. Wreszcie w dole piramidy gnieździło się mrowie ludu, chłopci i rzemieślnicy, którzy nie nie posiadali. Wszystko należało do Wielkiego Inki, który dzierżał chłopom ziemię, przy czym parcele zmieniane były co-

rocznie, aby wieśniak uprawiając przez dłuższy czas jakąś działkę nie nabrał przekonania, iż stanowi ona jego własność.

Chłopi i rzemieślnicy łącznie byli w grupie po dziesięć rodzin. Każdą taką grupę nadzorował specjalny urzędnik. Powyżej znajdowały się grupy złożone ze stu rodzin, następnie — z tysiąca rodzin, każda rządzona przez hierarchicznie wyższych urzędników. Wszyscy chłopci i rzemieślnicy mieli określone obowiązki i musieli płacić podatki. Dzięki podobnej organizacji można było realizować duże roboty publiczne: drogi o gładkiej nawierzchni ciągnące się tysiącami kilometrów, przy czym po obu ich stronach ciągnęły się kanały, którymi płynęła woda do użytku domowego i nawadniania pól. W regularnych odstępach na tych drogach zbudowane były obozowiska, gdzie podróżny mógł przenocować i pożywić się. Pałace, świątynie, drogi i mosty Inków do dziś budzą podziw — są to budowle pod wieloma względami doskonałe.

A PRZED INKAMI

Ale jeszcze na wiele lat przed Inkami mieszkańcy Peru, o których wiemy bardzo mało, mieli wysoce rozwiniętą cywilizację. Posiadali np. wspaniałe rozwiniętą sztukę nawadniania pól. Dolina, zwana dziś doliną



PODRÓŻE — PRZYGODA — PODRÓŻE — PODRÓŻE — PRZYGODA — PODRÓŻE

W MASYWIE MONT BLANC

Przygotowanie wyprawy w Alpy Francuskie w r. 1957 nie było przedsięwzięciem łatwym. Polska wyniszczona wojną i okupacją dźwigała się gospodarczo odbudowując zrujnowane fabryki i gospodarstwa. Brakowało dewiz, międzynarodowe kontakty sportowe praktycznie nie istniały.

W Klubie Wysokogórskim, który podjął zaraz po wojnie przerwana przez sześć lat działalność (nie licząc działalności konspiracyjnej), pozostała niewielka grupka ludzi. Przez lata okupacji możliwość chodzenia po Tatrach była minimalna nowych członków przybyło więc zaledwie kilkunastu, a ubywało wielu. W r. 1939 w przededniu wojny zginęli w Himalajach inż. A. Karpiński i inż. St. Bernadzikiewicz, potem — w latach wojny — członkowie Klubu ginęli na frontach, w Powstaniu Warszawskim, w obozach koncentracyjnych. Innych losy rzuciły w różne części świata. Jeszcze inni po prostu wycofali się.

Pomimo tych wielkich strat Klub ożył. Kilkunastu przedwojennych członków wzięło się z energią do odbudowania go od podstaw. Prezesem został wybitny znawca gór i autor szeregu książek o tematyce wysokogórskiej, znakomity alpinista, cieszący się wielkim autorytetem, dr. J. K. Dorawski. Kierownictwo wyprawy oddano znanemu polarnikowi, uczestnikowi wypraw na wyspę Niedźwiedzia, Spitsbergen, Grenlandię, doświadczonemu taternikowi, dr. Stanisławowi Siedleckiemu, memu taternickiemu nauczycielowi.

"Czynnik miarodajny" były bardzo przychylne, udało się więc ostatecznie doprowadzić wyprawę do skutku, choć trudności trzeba było przełamywać na każdym kroku. Nie istniały żadne "pre-

tarte szlaki", każdą informację do kogo się udać, czyje uzyskać poparcie zdobywało się z największym wysiłkiem. Zaopatrzenie w wysokokaloryczną żywność na cały czas trwania wyprawy musiało być dokonane w kraju jako że...

Żywności było w kraju pod dostatkiem podczas gdy np. w sąsiedniej Czechosłowacji lub Francji zakupienie tłuszczu, czy cukru stało się problemem. Za to możliwości uzyskania jakiegokolwiek sprzętu sportowego w kraju nie było w ogóle. Tak powszechne dziś tkaniny nylonowe lub nieprzemakalne tworzywa sztuczne nie były wówczas znane, zdobyć kilkunastu metrów materiału produkowanego dla celów chirurgicznych, z którego uszyliśmy wiatrówki, uważaliśmy za duży sukces.

Spodnie przerobione z jakiegoś wełnianego garnituru, stare swetry, wojskowe buty namakające na śniegu jak gąbka — to wszystko czym dysponowała wyprawa.

Jakie postępy techniczne w dziedzinie alpinizmu zostały poczynione na zachodzie, jakich używa się w Alpach butów, lin, płacht biwakowych, haków itp. o tym nikt z nas nie miał pojęcia. Te rzeczy — przewidywano — trzeba będzie zakupić, chociażby na wzór, we Francji.

Skład ekipy odzwierciedlał aktualny skład osobowy Klubu. Przeważali taternicy o ustalonej marce, mający na swym koncie najlepsze drogi tatrzańskie i szereg doskonałych alpejskich: Jerzy Hajdukiewicz, jeden z twórców powstałego podczas wojny klubu wysokogórskiego w Wintertur, (gdzie był internowany w tym czasie) i autor wielu znakomych dróg alpejskich w szwajcarii, jak np. północnej ściany Dent d'Herens, później w r. 1959 i 1960 uczestnik dwóch szwajcarsko-polskich wypraw (w tym ostatniej zwycięskiej) w Himalaje na jeden z niezdojanych 8000-cznych szczytów Daulaghiri, Czesław Łapiński i Kazimierz Paszucha, jeden z najwybitniejszych przedwojennych taterników polskich, zdobywcy m. in. uchodzącej do chwili obecnej za najtrudniejszą drogę tatrzańską — środka urwisk Galerii Gankowej; dr Tadeusz Orłowski (dziś profesor medycyny na Akademii Medycznej w Warszawie), chyba najwybitniejszy taternik okresu tuż przed i tuż powojennego; Jan Stasz, przewodnik tatrzański, alpinista, uczestnik najwspanialszych przejść zimowych w Tatrach, prof. Wawrzyniec Żuławski, znakomity alpinista, wybitna postać świata zarówno taternickiego, muzycznego, jak i towarzyskiego, późniejszy kilkuletni prezes Klubu Wysokogórskiego (zginął w lawinie lodowej w Alpach w czasie akcji ratunkowej w poszukiwaniu swego kolegi taternika, Stanisława Grońskiego, który zaginął w tym czasie w tajemniczych okolicznościach wraz z dwoma towarzyszami i do chwili obecnej na żadne ślady zaginionej grupy nie natrafiono).

Grupę wybijających się młodych stanowili Krakowianie; przyjaciel mój, Witold Ostrowski, ja i młodsiutki wówczas,

czoiowy dziś alpinista, Stanisław Worwa.

W rozgrzanym letnim słońcem Paryżu zatrzymaliśmy się kilkanaście dni, jako że święto narodowe 14 lipca, a zaraz potem niedziela uniemożliwiały załatwienie wszystkich niezbędnych sprawunków. Kręciliśmy się więc w "stolicy świata" lykając pełną piersią nowe wrażenia. W dzień zwiedziliśmy Luwr, Notre-Dame itd., w nocy zaglądaliśmy do Folies Bergere i włóczyliśmy się gdzie się dało. Więc tańce w nocy na ulicach Paryża, niekończące się wesołe miasteczko w pobliżu Pigalle, słuchanie nocą na Trocadero przygodnego skrzypka.

Jednego z silniejszych wrażeń dostarczyła mi... huśtawka. Kiedy zatrzymaliśmy się koło nas, gdzieś na bulwarze Baignolles, dwie kabinki zawieszone na metalowych ramionach długości kilku pięt, które właśnie przestały wirować, dwie pasażerki musiały wynosić na rękach. Jedna była całkowicie nieprzytomna, druga zaś tak oszołomiona, że nie była w stanie utrzymać równowagi.

Witek na ten widok aż przystanął z wrażenia.

— Chodź — mówi do mnie — musimy się przejechać na tej huśtawce.

Zanim wszedłem do kabiny wpadł mi do głowy szczęśliwy pomysł, że lepiej opróżnić wszystkie kieszenie i zostawić rzeczy któremuś z kolegów. Kiedy w dwie minuty potem odpiąłem pasy bezpieczeństwa i opuszczałemabinę trzymać się musiałem mocno poręczy aby wyjść o własnych siłach i... z honorem, nie narażając się na kpiny kolegów.

Szalony kołowrót gdzieś na wysokości 10-ego piętra w wygwieżdżone niebo, potem w dół pomiędzy setki lamp, w przód i w tył, wgniałam w fotel z ogromną siłą. Jedną ręką zapierałem się z całych sił, pomimo krępującego pasa, o sufit kabiny, drugą podtrzymywałem dolną szczękę, której nie byłem w stanie utrzymać na właściwym miejscu to jest w stanie zamkniętym.

— Uważasz, że to taka dobra zaprawa do podniebnych wędrówek alpejskich? — zapytałem potem Witka.

W Paryżu kupiliśmy też sprzęt alpinistyczny i... zapłaciliśmy frycowe. Trochę wykorzystano naszą nieświadomość i wpakowano nam przedmioty już wychodzące z użycia. Nie chcę się wdawać w szczegóły i opisywać zalety butów "Wibram" lub puchowego sprzętu biwakowego, który był w tym czasie cudem, o jakim się nam nie śniło. Porównanie, choćby pobieżne może dać obraz dysproporcji pomiędzy tym co sprzedano nam w Paryżu, a tym co powinniśmy mieć. Sprzęt przewodników alpejskich — najwyższa w tym czasie klasa alpinistów na świecie — ważył około trzech kilogramów, podczas, gdy nasz — jedenaście kilogramów. Na każdą drogę trzeba było dźwigać buty obite specjalnymi hakami. (t. zw. tricoumi) i pantofelki na zmianę, podczas gdy wystarczyłyby Wibramy i lekkie raki.

(Dokończenie nastąpi)
JERZY PIOTROWSKI

Viru, cała była pokryta siatką kanałów doprowadzających wodę z gór do każdego skrawka pola. Jeden z kanałów miał w niektórych miejscach 15 metrów szerokości, inny był długości 110 km. Uczeń przypuszcza, że do zbudowania tego ostatniego kanału trzeba było wydobyć ponad 750 tys. metrów sześciennych ziemi, co wzbudza tym większe zdziwienie, iż do pracy używano wyłącznie narzędzia drewniane i kamienne.

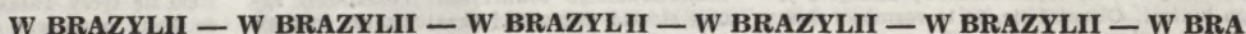
Dlaczego więc na przełomie w XII i XIII to arcydzieło sztuki technicznej zostało opuszczone?

Uczeń nie umie dać odpowiedzi na to pytanie. Być może, iż wspaniała cywilizacja przedinkaska upadła na skutek najazdu jakiegoś barbarzyńskiego ludu lub groźnej epidemii. Ostatnio wysunęto dość prawdopodobną hipotezę, iż dolina Viru została porzucona przez mieszkańców wskutek wyjałowienia gleby. Wody płynące kanałami zawierały spory procent soli mineralnych. Z biegiem czasu grunt został tak zasolony, że ziemia przestała dawać plony.

Jest to, oczywiście, tylko hipoteza, ale zasługująca na wiarę.

JEAN DES CHAUMES

(Skrót redakcyjny z "Folha de S. Paulo")



17

też tę wyższość ich szef, ale pycha i zarozumiałość, wynikające z zajmowanego stanowiska i posiadanej siły fizycznej, kazały mu patrzeć z wysoka na Tassara. Poza to nie podobały mu się częste rozmowy białego z jego ludźmi. Obawiał się, że te rozmowy mogą osłabić autorytet władzy albo nawet doprowadzić do buntu. Podejrzewał też od dłuższego czasu, że biali go oszukują. Nie mogło to być, aby po kilku miesiącach pracy wydobyli tylko tyle złota, żeby to zaledwie starczyło na opłacenie kosztów utrzymania.

Toteż, gdy pewnego dnia Tassara płacił dług za potrącone towary i nie przyniósł ani szczypty złota ponadto olbrzym zawołał gniewnie:

— Dość tego!

Tassara otworzył usta, żeby zapytać o co mu chodzi, ale nie zdążył nic powiedzieć. Olbrzym chwycił go obu łapami za bary i podniósł do góry jak torbę sieczki.

Trząsł nim i wrzeszczał:

— Dość tego, powiadam! Precz z moich oczu! Nie chcę was więcej widzieć!

Po czym rzucił Tassara na ziemię.

Francuzi nie czekali na dalsze objawy nienawiści. Wynieśli się pospiesznie z Serra Negra. Udali się do pobliskiej Tagassaba, ale nie zatrzymali się tam długo, ponieważ wszystkie znane odkrytki zajęte były przez miejscowych kabokli. Z Tagassaba przez Itaquí, Rio de Cedro i Faisqueira powędrowali do Antoniny. Zasięgnęli tam języka co do Quilombo, które miało się znajdować po drugiej stronie Serra do Mar w dorzeczu Capivary.

Szczęśliwym trafem kupiec, któremu sprzedali kilkadziesiąt gram złota, znalazł tę miejscowość. Wyszukał im nawet przewodnika. Prosił tylko, żeby w zamian jemu tylko sprzedawali wydobyte złoto, obiecując, że będzie płacił za onse tj. trzy i pół grama o sto rejsów więcej, niż *mascates*.

Francuzi kupili skałkowe pistolety i potrzebny ekwidunek i wkrótce potem udali się w drogę. Płynęli najpierw czołmem po rzece Cachoeira aż do jej progów, a potem wędrowali już ładem. Ścieżka indiańska wyprowadziła ich z początku na dział wód zwany Serra de Guaricana, a później nad rzekę Capivary. Posuwając się w kierunku dolnego jej biegu przebrnęli przez mnóstwo jej dopływów, aż doszli do większego strumienia noszącego nazwę Tucunduva. Teren był tu górzysty, las liściasty, ziemia urodzajna.

Nad Tucunduva rozłożony był właśnie oboz zbitych niewolników. Płukali w rzece, a więcej jeszcze wzdłuż rzeki w kwadratowych jamach zwanych *catas*. W odróżnieniu od autokratycznego Quilombo w Serra Negra Quilombo nad rzeką Tucunduva było republiką. Nie istniały tam ani silna ręka, ani wielkie plany na przyszłość. Była to grupa biedaków, trzymających się razem by daleko od cywilizacji i niewoli żyć na wolności i eksploatować bogactwa leżące odłogiem.

Przewodnik opowiedział im, że przyprowadził trzech Anglików z polecenia kupca z Antoniny i Murzyni zgodzili się pokornie na zaofiarowanie nowoprzybyłym działki złotonośnej ziemi.

Po obejrzeniu płuczek Tassara uznał, że są równie bogate, jak w Assunguy. Zatruli się zaraz do płukania na wyznaczonej działce. Powiodło im się doskonale. Murzyni byli bardzo dobrzy, często pomagali.

Gdy minęło sześć miesięcy i zebrali sporo złota trzeci z Francuzów poprosił Tassara, żeby zrobił obrachunek i po odliczeniu wydatków oddał mu jego część pragnął bowiem porzucić życie w Quilombo i wrócić do cywilizowanego świata.

Tassara ociągał się z zrobieniem obrachunku, a gdy go w końcu przedstawił towarzysznik nie zgodził się na wynik twierdząc, że jest niesprawiedliwy. Pokłócili się. Gdy miało już dojść do rękoczynów Tassara chwycił nóż i pchnął nim kolegę tak celnie, że ten padł

trupem na miejscu. Zbrodnia ta przeraziła wszystkich, najwięcej zaś Jana de Feux. Nie wątpił wcale, że gdy zażąda udziału w wydobywaniu złota spotka go taki sam los jak zamordowanego towarzysza. Postanowił raczej stracić wszystko. Nazajutrz nie było go już w Quilombo.

W Antoninie przyłączył się do tropy idącej do Campo Largo. Zmienił tam swoje imię Jan na Manoel chcąc się upodobnić do Brazylijczyków. Odtąd zwał się Manoel Inglez. Z Campo Largo udał się do Tamandua, osady, w której mieszkali zamożni fazendierzy i kupcy bydła z Rio Grande do Sul. Tamandua w owych czasach składało się z kilku sklepów i kilkunastu domów z *taipys* tj. ubitej gliny. Był tam też starożytny, historyczny kościółek, a przy nim ksiądz. Do partii taroka zasiadali z nim: komisarz policji, sędzia pokoju i notariusz. W pobliżu znajdowały się rządowa rogatka, oraz wielki magazyn rządowy sprzedający towary na kredyt przejeżdżającym troperom, którzy zwracali dług po sprzedaniu bydła w Sorocabie.

W Tamandua Manoel Inglez zaznał się z fazenderem Almeida jadącym z dziesięcioma mułami jucznymi na swoją fazendę w Sertão dos Micos. Dziś na tym terenie są dwie stacje kolejowe Valinhos i Teixeira Soares, ale wówczas rosła tam nieprzebita puszcza.

Od pierwszego wejrzenia Francuz i Almeida poczuł do siebie sympatię. Nie trwało długo, a Manoel Inglez zgodził się pojechać na fazendę. Wprowadzony do rodziny Almeida brał z nią udział we wszystkich pracach gospodarskich. Jeździł z tropą, pracował na *rosach*, doglądał chowu bydła i znał czelęta rozpalonym żelazem. Nie pytał o zapłatę, gdyż upatrzył sobie starszą córkę Almeida, z którą po roku się ożenił.

Odtąd Brazylijczycy przestali go nazywać Manoel Inglez. Przygłębło do niego nazwisko żony: Almeida. Nikt nie znał jego prawdziwej przeszłości. Objawił ją dzieciom dopiero na kilka lat przed śmiercią. W Carapatos (dzisiejszym Entre Rios) spotkał się

w r. 1820 z uczonym i podróżnikiem francuskim Saint Hilaire. Umarł w Sertão dos Micos w zaścianku Anta Gordá i na tym kończy się historia praszczura Almeidów.

Co się tyczy Tassary to po ucieczce Jana de Feux opanował całkowicie Murzynów w Quilombo. Zorganizował ich pracę, sprowadził z Antoniny potrzebne narzędzia i materiały i dbał by nie zabrakło żywności i odzieży dla ludzi. Z Murzynami obchodził się dobrze. Wypłukane złoto zbierał w wielkim szklanym gąsiorze t. zw. garafonie, który przechowywał w dziupli oltrzymiego drzewa. Kobiętom kupił suknie, a mężczyznom przyodział w bawełniane koszule i spodnie.

Po roku odwiedził Antoninę. Zapoznał się tam z pewną Mulatką i wziął ją za żonę. Odtąd sprawował rządy w Quilombo lepiej, niż niejeden król. Kiedy przyjeżdżał do Antoniny zwykł być chodząc opasany szerokim pasem ze skóry wydry. W pasie były kieszenie wypełnione złotym proszkiem. Czarne dzieci biegały za nim, gdy odwiedzał krewnych i znajomych swoich ludzi. Podnosiły ręce do góry i wołały:

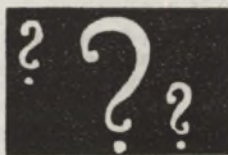
— Bêncão, pa! ("Pobłogosław nas, ojcze").

Tassara wydobywał szczyptę złota i posypywał nim kędzierzawe główki malców. Dzieci strzepwały potem złoto na papier i kupowały za nie słodycze.

Szczęście Tassary zostało zakłócone wybuchem epidemii ospy w jego obozowisku. Umarło kilku ludzi i zmniejszyła się produkcja złota. Potem przyszła żółta febra zawleczona przez jakiś statek kursujący pomiędzy Santos a Rio de Janeiro. Srożyła się najpierw w Antoninie, później przeniosła się na zabagnione brzegi rzeki Cachoeira, a wreszcie zawitała do Tucunduva.

Żółta śmierć zabrała Tassarze wszystkich ludzi, a na koniec jego samego. Wymarli wszyscy. Pozostał tylko gąsior pełen złota. Szukali go różni poszukiwacze skarbów, a nawet dyrektor kopalni Cachoeira dr Vasconcelos, ale nikt nie znalazł ani dziupli, ani garafonu.

PINIÓR.



RZECZY CIEKAWE — RZECZY CIEKAWE — RZEC

WEŁNA POLSKA

Len i owce odziewały niegdyś wieśniaka. Najbliższą ciału koszula była ze lnu. Spodnie drelichowe, sukmana z utkanego w domu samodzielnego, kozuch i czapa z baraniego futra. Najwyżej kapelusz od słońca uplotło się z żytniej słomy. Raz na kilka lat kupiło się buty i przyodziewek gotów. Kobiety, jak to kobiety, miały zawsze większe wymagania, chodziły po zakupy do miasta, na jarmarki. Mężczyźni ubierali własne gospodarstwo i pracownice żonine ręce. Dla owiec nie stawiano się oddzielnych budynków. Robiono po prostu w oborze zagrodę z desek. Owce nie mogły chodzić razem z krowami, potrzeba im było odmiennie pastwisko, suchsze, na górkach, na skraju lasu. Wypędzało się je też trochę później, gdy obeschnie rosa poranna. Miały więc własnego pastucha, gromadzkiego owczarza. Był to zazwyczaj człowiek sędziwy, szedł przez wieś, przeciągłym, nicco drżącym głosem nawołując: owce-e! Przybiegały rzucając się ku wrotom zbite w żywcy kłęb i tak, owczym pędem wypadały na drogę becząc donośnie. Każdy owczarz był trochę weterynarzem, on to trzebił barany — trochę znachorem, wyspecjalizowanym zwłaszcza w chirurgii. Nastawiał zwichnięte ręce i nogi, brał w tępki złamane kończyny, przyrządzał

maści i napary z ziół zbieranych w całodziennych wędrowkach. Był także meteorologiem, przepowiadał pogodę i to dość trafnie, ze znaków na ziemi i niebie.

Ale nie na tym kończyła się wiedza owczarza: gdzie tylko zatrzymał się ze stadem na dłuższą, rysował sobie zegar słoneczny. Kreślił krąg laską na piasku, a za wskazówkę służyła mu ta sama laska, rzucając wąską smugę cienia na tarczę zegara. Już niedługo południe, już pewnie ludzie idą z obiada, już odwieczysz, czas zapędzić stado pod dach.

W tumanie kurzu tłoczą się owce i skopy. W tej czwartej ciążbie nie brak i tryków, znacznych długimi rogami i płóciennym fartuszkami zastępującym liść figowy. Była to raczej symboliczna ochrona; nie regulowano jagnięcych narodzin tak jak przestrzegano pory cielenia się krow. Owce kociły się jak rok długi. Strzyżenie odbywało się poźną wiosną, gdy słońce już dobrze przyszedło. Trudniły się tym specjalistki, baby na schwał, zabieg ów bowiem wymagał siły i zręczności. Najpierw strzygło się jagnięta, na to nie trzeba siły tylko dużej wprawy i doświadczenia: wełna na nich krótka, skręcona, a skórka delikatna. Stare owce i barany wpędzało

się najpierw do wody, najlepiej do glinianki albo pod szluzę, żeby zmyć z pierwszego brudu. Myło się tylko twardymi jak zgrzebło rękami bez żadnych pomocniczych środków ani narzędzi. A czego tam nie było: śdźbła słomy, rzepy, kleszcze, pot. Strzyżaczki wsiały nieraz na owce jak na konia, ścisnęły kolanami i tak wjeżdżały w wodę, inaczej rozbieganie się ta gadzina i gdzie jej szukać. Strzyżka następowała dopiero nazajutrz, gdy owce wyschły przez noc na sutej podściółce. Dobra strzyżaczka potrafiła zdjąć całe runo i nie skaleczyć owcy. Surową wełną posyłało się do greplarni, wracała czysta, szczerana, jak puch. Potem przędło się ją na przędzicy, tkano na krętym postawie i posyłało do folusza, czyli do spłisnienia. Folusze mieściły się zazwyczaj przy dużych młynach, o silnym spadzie wody. Pod jej naporem rzadki samodziół kurczył się, stawał się zbity, mięsisty.

Po pierwszej wojnie światowej, kiedy to większość młynów poszła z dymem, a nowo-odbudowane używały przeważnie motorów spalinowych, koła młyńskie, tak zdawałoby się urosnięte w pejzaż polskiej wsi, zniknęły stopniowo z horyzontu. Nie było już gdzie folować samodzielnie.

Gdzieś z końcem maja zatem, po strzyżce, zawiązywało się w płachtę wanuch wełny, przytraczało z tyłu do wozu albo bryczki i wiozło do Żelechowa. Tam wymieniano się u tkaczy — kolonistów niemieckich wełną na gotowe sukno i koce. Wybór był niewielki, ale i wymagania po wojnie zmalały: byle coś na grzbiet włożyć... Inaczej przedstawiała się sprawa jeżeli gospodarz sprzedawał owoce rzeźnikowi na mięso. Wówczas skóra była dla niego, takie obowiązywało niepisane prawo. Baranie skóry suszyło się, składało do skrzyni, a gdy ich było dość, oddawało do wyprawy na kozuchy, kozuski, czapy, co kto chciał. Z najlepszej wyprawy i najzgrabniej skrojonych, napiętniej wyszywanych kozuchów, w okolicy, gdzie dłuższy czas mieszkaliśmy, słynął Garwolin.

Białą wełnę, równiutko sprzedaną, niosło się do farbiarni. Ulubione barwy Podlasia to zielony, modry, czarny, rzadka przetykane żółtym. Toteż podlaskie pasiały niepodobne były do łowickich tak jak uboga ziemia podlaska niepodobna jest do łowickiej gleby. Z barwionej wełny tkano zapaski, czyli fartuchy, przechochy, czyli spodnice, wreszcie kilimy. Te zawieszano się nad łóżkiem, przykrywało nimi wiązki słomy na dobrze wymoszczonym wozie, ale przede wszystkim służyły one do szczelnego owijania się, gdy matki niosły niemowlę na rękę. Zakutały się tak, że często główki nie było widać. Gdy zarzucano obyczaj tiulowych, rurkowanych czepków dla męszatek nieco odmiennych w każdej wsi, kobiety i dziewczęta wazyły na głowie niemal jednakie chustki, różniące się tylko kolorem: jaskrawszym dla młodych, ciemniejszych dla statecznych niewiast. Modne były chustki krakowskie w różę, ale szczyt elegancji stanowiła tak zwana "szalinówka", czyli chustka kaszmirowa, czasem w turecki deseń, czasem gładka, czarna ozdobiona frędzlą. Na to uszakże mogły sobie pozwolić tylko żony i córki najzamożniejszych gospodarzy. Był to taki sam przedmiot zbytku jak za czasów Drugiego Cesarstwa szale kaszmirowe dla paryskich elegantek.

Jadwiga Waydel — Dmochowska

Prezydencki samolot

Prezydent Kennedy i jego rodzina znajdują się pod bezustannym ostrzałem reporterów. Dziennikarzy interesuje każdy szczegół oficjalnego i prywatnego życia prezydenta. Niedawno obliczano, ile podatków musiałby prezydent zapłacić, gdyby swej pensji nie przeznaczył na



NA POGRANICZU BAJKI — NA POGRANICZU

Tajemnice z życia węzów

A JEDNAK SSA MLEKO

Przed niewielu laty nieżyjący dziś lekarz dr. Józef Czaki opublikował niewielkie dziełko pod tytułem: "Popularna rozprawa o jadowitych węzach w Brazylii". W pracy tej omówił trzy główne gatunki jadowitych węzów zwane: *jararaca*, *cascavel* i *cobra coral*, i opisał oznaki zatrucia po ukąszeniu. Opowiedział też wreszcie o zabobonnej wierze ciemnego ludu, że istnieją węże, które ssą mleko z wymion krowich lub nawet z piersi kobiet karmiących niemowlęta. Zdaniem dr. Czaki jest to niemożliwe z powodu budowy łoża i zębów węża.

Powierzając naukowców i dr. Czaki byłem przeświadczony o słuszności tego wywodu dopóki nie spotkałem się z faktami przeczącymi zgoła ich tezie.

Pracując w Barracão, zwanym też Dionisio Cerqueira, poznałem przed rewolucją r. 1930 znaną, pracowitą i średnio-zamożną rodzinę Brazylijczyka Antonia Bittencourta. Miał on żonę i kilkoro dzieci dorosłych i mieszkał w drewnianym domku przy samej granicy argentyńskiej hodując bydło i uprawiając kukurydzę, fasolę, kartofle i trochę tytoniu.

Nabywałem u niego żywność. Ile razy jechałem do Barracão wstępowałem zawsze do gościnnego domu Bittencourta, aby u jego żony kupić kilka tuzinów małych cygar paragwajskich — *charutinhos*. Robiła je z córką z liści tytoniowych produkowanych w własnej plantacji. Umiała tak dobrze dobierać liście i tak dokładnie wykonywać cygara, że uchodziły za najlepsze.

A przy tym kiedy byłem w ich domu podawała po szmaronie i cygarach blaszaną kieliszek mleka i talerz doskonałej mamaligi, abym, jak mówiła, pokrzepił się na drogę. Za tę jej dobroć odwdzięczałem się jak mogłem.

Pewnego razu, gdy odwiedziłem Bittencourtów, doszło do rozmowy o węzach, gdyż akurat syn gospodarza zabił na podwórzu w pobliżu stodoły wielkiego żarakussu.

Bittencourt opowiadał, że w okolicy Barracão spotyka się najczęściej żarakussu i żararaki. Trafiają się też orutu i koralówki, nie ma natomiast wcale grzechotników, gdyż mieszkają one tylko na stepie. Zrelacjonował, oczywiście, kilka wypadków ukąszenia przez żmije i wyleczenia ukąszonych przez kurandejrów. W końcu zaczął się rozwodzić nad sprawą, która mnie szczególnie interesowała.

Mieszkał on swego czasu na kolonii

cele dobroczynne. Okazało się, że 100 tysięcy dolarów dla dobroczynności kosztuje Kennedy'ego dokładnie 9,2 tysiąca dolarów. Resztę zabrałyby mu i tak podatki. Tygodnik "Time" z kolei opisuje nowy nabytek prezydenta. Jest to samolot odrzutowy typu "Boeing", który kosztuje 8 mln dol. Jest to latający Biały Dom wyposażony dosłownie we wszystko.

San Javier nad rzeką Urugwajem w szalacie sporządzonym z drągów i krytym trawą sape t. zw. *pau a pique*. Od czasu do czasu zjawiał się w obejściu niejadowity wąż *caninana*. Nie zabił go, ponieważ wlażył do stodoły z kukurydzą i łowił myszy.

W tym właśnie czasie żona Bittencourta miała córeczkę, którą karmiła piersią. Kiedyś w czasie karmienia zauważyła, że dziecko ma krosty na ustach. Zasięgnęła rady u doświadczonych niewiast i kurandejra. Stosowane maści i zioła nie dawały jednak żadnego rezultatu. Krosty szerzyły się dalej. Raz, gdy spała w nocy z dzieckiem u piersi zbudził ją głośnie płacz dziecka. Jednocześnie poczuła jak coś gętkiego zsunęło się po niej na ziemię. Zawołała męża i kazała mu zaświecić jak najprędzej.

Zapalił lampę, ale nic nie znalazł. Szukał po kątach i między gratami — ani śladu. Dopiero kiedy zajrzał do wielkiego kosza z takuary, w którym znajdowały się suche strąki fasoli, znalazł zwinietą w kłębek kaninanę. Zabił ją natychmiast. Zrozumieli oboje co było powodem choroby dziecka. Kiedy nazajutrz opowiedzieli sąsiadom i znajomym o wydarzeniu nocnym wszyscy orzekli, że kaninana ssła pierś kobiety i że teraz mała pozbędzie się krost. Ale krosty nie ustępowały tak że w końcu Bittencourtowie musieli pojechać z dzieckiem do lekarza w Posadas.

W poczekalni było tylko kilka osób. Żona Bittencourta usiadła i czekała spokojnie na swoją kolejkę. Po pewnym czasie otworzyły się drzwi gabinetu i zjawił się w nich lekarz. Spojrzał na pacjentów i kiedy zobaczył owrzodzoną twarz dziecka skinął na matkę, żeby weszła do gabinetu przed innymi.

— Czy nie chowa się u was w obejściu kaninana? — zapytał.

Kobieta opowiedziała mu całą historię.

Lekarz był zadowolony, że postawił trafną diagnozę.

— Miałem już w swojej praktyce dwa podobne wypadki zatrucia dziecka przez kaninanę — powiedział. — Choroba ta jest dość uporczywa.

Zapisał lekarstwa i pouczył jak je należy stosować. Po kilku miesiącach wrzody znikły i dziewczynka wyzdrowiała.

W tej samej kolonii San Javier w rok potem jeden z kolonistów zabił kaninanę kiedy owinięta koło tylnej nogi krowy ssła wymię. Po zabiciu okazało się, że miała w brzuchu pełno mleka.

PINIÓR

Samolot podzielony jest na trzy pokoje i sypialnię. Specjalne urządzenia elektryczne (wartości 2 mln dol.) pozwalają na utrzymywanie natężenia światła i nieprzerwaną łączność z prawdziwym Białym Domem. Samolot ma zasięg 11 tys. kilometrów. Może utrzymywać się w powietrzu przez ponad 13 godzin, lata z szybkością 900 kilometrów na godzinę.



HENRYK PRZYBOROWSKI

Wyspa węzów

(Wyjątek z II części książki p. t. "RAPORT KARNY", która ukaże się nakładem firmy B. Świderski w Londynie).

Wyspa Bute, jest położona w Zachodniej Szkocji, u ujścia rzeki Clyde. Dzieli ją od stałego lądu zatoka morska szerokości około 2 klm. Po przeciwległej stronie, na stałym lądzie, wznoszą się łagodne góry. Kiedyś tu przybyli, na jesieni, pokrywał je kobierzec wrzosu. Dziś, po paru miesiącach, skrzę się w słońcu śnieżne szczyty.

Okręty płynące z Ameryki do Anglii, zatrzymują się na krótki postój pomiędzy wyspą, a lądem. Morze jest tu spokojne, często widzieć można koziołkujące w nim delfiny.

Z okna mojego pokoju widzę góry, morze, przyglądam się statkom.

Pośród nocy słyszę wyraźnie zgrzyt łańcuchów opuszczających kotwic. Zgrzyt ten jest niemiły i głuchy. Jakąż on musi być miłą melodią dla marynarzy opuszczających kotwice...

My ciągle płyniemy gnani wichrem dalej i dalej...

Kiedy zarzucimy kotwicę?...

Dowództwo Wojsk Polskich wybrało wyspę Bute, na założenie swojego rodzaju luksusowej — Berez.

Mieszkamy w hotelach i pensjonatach, do których podczas wakacji zjeżdżają na wypoczynek mieszkańcy niedalekiego Glasgow. Śpiemy na wygodnych łóżkach, służące czyszczą nam buty wystawione pod drzwiami na korytarzu, jemy punktualnie dobre posiłki w ogromnych salach jadalnych, gramy w bridża od rana do nocy, przynajmniej dwa razy w tygodniu chodzimy do kina.

Wkrótce, z prawdziwą satysfakcją zauważam, że to paśmożnicze życie nie tylko nie przypada do gustu ogromnej większości 600 oficerów różnych rodzajów broni, ale ich doprowadza do rozpacz.

Znalazła się tutaj garstka degeneratów i pewna ilość zawodowych łazików, ale są oni w mniejszości. Wszyscy inni, lotnicy, pancerniacy, niejednokrotnie ludzie bardzo młodzi, duszą się w atmosferze luksusowego obozu i myślą tylko o tym jak by się stąd wydostać i powrócić do swoich oddziałów.

Po za oficerami którzy przekroczyli dawno wiek służbowy, nikt prawie nie wie za jakie winy spotkała go nagroda wysłania na wyspę. Nie zdaje sobie z tego sprawy także Komenda Obozu. Okazuje się to jasno jednego z pierwszych dni pobytu, kiedy nam zapowiadają wizytę generała, komendanta obozu, uprzedzając, że będzie się nas pytał o powody naszego pobytu w obozie.

Mieszkam w pensjonacie wraz z dwudziestoma innymi oficerami.

Wieczorem, w przeddzień generalskiej wizyty, naradzamy się po kolacji, co mamy powiedzieć generałowi. Jestem sam tak rozgoryczony bezmyślnością naszego odosobnienia, że wpadam na niezbyt szczęśliwy pomysł: dzielić role pomiędzy poszczególnych kolegów.

"Skoro nie potrafia prowadzić porządnej ewidencji, niech cierpią", — myślę.

— Pan — zwracam się do wysokiego jak tyka, bladego porucznika, — jest fijołem. Jak pana generał zapyta, powie pan tylko: "Fijoł jestem, panie generale"... — Pan jest chory, — mówię do grubego kapitana. — Choroba pańska nazywa się *Tabanus bovinus*. Musi się pan wyuczyć tej nazwy...

Z czasów mojej amatorskiej praktyki weterynaryjnej, zapamiętałem tę nazwę. *Tabanus bovinus* to — giez koński.

— Pan — mówię do innego oficera, po prostu odpowie: "Nie wiem i nie chcę wiedzieć". Z panem porucznikiem jest sprawa jasna — zwracam się do następnego. Powie pan: "Byłem w Polsce starostą". Kto chce niech powie: "Głosowałem na jedynekę". Ja mam sytuację także ułatwioną, powiem: "Służyłem w I-szym pułku ułanów Beliny".

Następnego dnia, — poza fijołem — wszyscy przyznali się do winy. Największe wrażenie na generale zrobił *Tabanus bovinus*. Tego samego dnia dwóch przysłanych doktorów szukało go w gardle grubego kapitana. Wstyd im było, że nie mogli go znaleźć. "Z tą łaciną to nie łatwa sprawa..." —

mruczeli. Na wyspę nie przysłano najlepszych lekarzy. Niemniej znalazło się pomiędzy nami kilka naprawdę ciekawych typów. Oto przykłady:

Major B.: — Nie rozstaje się z małym posażkiem Buddy i twierdzi, że osiągnął trzeci stopień "joggi". Można go już zakopać na sześć miesięcy do ziemi. Po odkopaniu ma się okazać, że — utył.

Pułkownik T.: — Ma walizkę pełną słowników. Twierdzi że Polacy nie są słowianami a wywodzą się w prostej linii od — Greków. Twierdzenie swoje popiera tym, że chłopci na Podhalu wołają na konie "heta".

Porucznik W.: — Cierpi na chroniczne odciski. Uważa, że największą klęską ludzkości są trzewiki. Wyrysował model mokasynów, a obstałował je u osłupiałego miejscowego szewca, dozorował jego pracę, a obecnie biega w mokasynach po całej wyspie.

Porucznik S.: — Łysy jak kula bilardowa. Ktoś mu powiedział, że można tutaj dostać preparat hormonowy na porost włosów. Łyzka od zupy przed każdym jedzeniem i włosy rosną jak jasna cholera. Poszedł do apteki, tłumaczył o co mu chodzi ze słownikiem w rękę, dali mu te hormony. Połykał łyżkę od zupy przez trzy dni i zabrali go do szpitala.

Hormonami należało smarować łysinę.

Podporucznik A.: — Dzień i noc pracuje nad wynalazkiem pływającej szafy.

Jak spadochroniarze niemieccy wylądują na wyspie, on jeden się uratuje. Motorek robi ze starego odkurzacza i takiejże baterii, którą znalazł w garażu właściciela pensjonatu.

Rozmawiając z tymi ludźmi, zapominam czasami o — wojnie. Nic dziwnego, że pewnego dnia ukazuje się w rozkazie dziennym, moje nazwisko: zostaje mianowany... dyrektorem obozowego teatru. Ochotnicy, aktorzy-amatorzy, mają się do mnie zgłaszać. Wobec braku jakichkolwiek książek, sztuki mam sam pisać. Reszta to głupstwo: Szkoci dadzą salę, ppuk. K. wyćwicz chór, żony oficerów uszyją kostiumy, malarze wymalują dekoracje.

Pierwszym ochotnikiem na scenę jest niski podporucznik o ciemnej cerze.

— Kim pan bywał na scenie? — zapytuję go, — amantem, czarnym charakterem, a może pan śpiewa?

Podporucznik uśmiecha się z zażenowaniem.

— Nie, ja do — kasy... — odpowiada.

Niemniej udaje się zorganizować trupę teatralną. Reżyserem został b. aktor Teatru Narodowego w Warszawie Artur Socha. Zbliża się Boże Narodzenie.

Piszę "Szopkę Żołnierską 1940 roku". Wystawiamy ją na nowoczesnej scenie "Pawilonu" w Rothesay. W moim "Dzienniku" znajduję następujące wspomnienie z tego przedstawienia:

"Stoję za kulisami teatru, kurtyna idzie w górę. Na scenie nie ma nikogo, sypią się tylko płatki śniegu i opadają na gałązki świerków.

Z daleka słychać śpiew kołędników. Nagle zagłuszają go oklaski: publiczność wita niemi przepiękną dekorację, dzieło naszych artystów malarzy, z których kilku dobrze było znanych w Polsce. Podchodzi do mnie Artur Socha, który gra żołnierza piechoty.

— Dobry początek... — mówi. — Nie często się to zdarza.

Chór potężnie, jego śpiew zdaje się wypełniać teraz całą salę.

Sceny, jedna za drugą grają kolorami strojów narodowych, płyną jak fala w świetle różnokolorowych reflektorów. Ukazuje się — Polska.

W tej chwili zrywają się tak potężne oklaski, że gmach teatru wydaje się trząść w posadach. Kiedy oklaski cichną przed szopką staje żołnierz piechoty — Socha. Wspaniałym, spiżowym głosem, deklamuje wiersz Antoniego Bogusławskiego:

*W żołnierskim trudzie, krwawego roku,
Po tylu polach, po tylu górach,
Idę ja naprzód, nie płacząc kroku,
Długim, chłonnym krokiem piechura...
Tu mi się w koło las zazieleni
Tam się pode mną rozchwieje morze,
Idziemy ciągle, chociaż strudzeni,
I w imię Polski i w imię Boże...*

Nie zwolnić kroku, nie ustać w trudzie,
A za to kiedyś piersiami swymi
Jako stęsknieni nad miarę ludzie
Przypaść do swojej rodzinnej ziemi...
Rok to tak wiele, rok to tak mało,
Myśmy gotowi kroczyć i lata
Byleby kiedyś nam się udało
Powrócić do nich, gdzieś z krańca świata...

Wrócić uczciwie, mężnie, oręźnie,
Zagoić rany co dzisiaj bolą,
Sztandarem wionąć, a niebosiecznie,
Nad obaloną w prochy niewolą,
Potem go zniżyć w kornej podzięce
Temu co wiódł nas Panu i Bogu
Z cichą pieszczotą, przesunąć ręce
Po każdym, który ocalał progu

Rok to tak mało, rok to tak wiele,
Z niezłomną wiarą, z płomieniem w oku
Idziemy naprzód, prosto i śmieie
Byleby tylko nie zwolnić kroku...

Spoglądam na aktorkę uosabiającą postać Polski. Przymknęła oczy, widzę, że drży. Opanowuje się jednak szybko. Będzie w stanie mówić. Zalamuje się kto inny: Górala Podchalańskiego gra starszy wiekiem porucznik rezerwy, rodem z Nowego Targu. Gunia z fantazją narzucona na ramiona, ciupaga w rękę, kapelusz z muszelkami i piórkiem zawadlako zsunięty z czoła. Na próbach trzymał się doskonale, nie trudno było Góralowi, grać — Górala. Kłęknał teraz przed szopką, powstał, powoli odwrócił się ku publiczności i deklamuje:

Jezusicku!...
Tam w Polsce mnie nimo
Ale jest ma doso,
Ja se rise haw z tela
Liścik niewielki
Nie będzie słów wiela,
Pise na skockiej grani
Jak u nas na hali
I serce cleko boli
Bo to nie od sie...
Chodzę i świerki okiem głosce
Hej! krzyknął bym jak u nas
Tylko się strachają owce...

Kiej psymknies ocy
A siedzies przy sośnie
To ci serce rośnie
Jak swojaki gwarzom
Po naszymu, po polsku
Gadają że będzie!...
Ze — wróci...
Ze Jasiek we wojsku
Ze nasi wygrali
Ze onego tak sprali
Ze ani widnąć...

Siedzis i słuchas
A sosnia sumi
Jak — umi...

Nie dokończył wiersza, opuścił bezradnie ręce, widzę jak łzy płyną mu po policzkach. Powoli zeszedł ze sceny i wsparł głowę na moim ramieniu...

Dziś rany się zasklepiły lepiej lub gorzej, nauczyliśmy się być nieczułymi na — tęsknotę. Ale wtedy, w roku 1940, rana była otwarta.

Zjawił się na wyspie, znany już nam kpt. Jan Śliwiński. Chórzyści wyuczyli się nieźle angielskiego i "przewodnik" nie był im potrzebny. "Hansia" Śliwińskiego, wysłano na Bute.

Podczas swoich wędrówek, spotkał on posła do zby Gmin z Północnej Irlandii, prof. Savory, z którym się zaprzyjaźnił. Prof. Savory namówił go do napisania artykułu przedstawiającego sytuację Polski pod okupacją i obiecał swoją pomoc w umieszczeniu artykułu w "Times'ie".

Śliwiński, zajął się energicznie zbieraniem materiałów w czym jak mogłem, tak mu pomagałem.

Po pewnym czasie artykuł został wydrukowany na honorowym miejscu "Times'a".

Dumny z tego osiągnięcia, Hansio pomaszzerował do Komendy Obozu, aby jeden numer pisma ofiarować w prezencie generałowi.

Komendant Obozu, generał, znający świetnie w mowie i w piśmie język rosyjski, z całego artykułu zrozumiał tylko podpis Śliwińskiego. To wystarczyło.

— Pan to napisał? — zapytał.

S Z C Z U R

Burza zaskoczyła "Alabamę" w pobliżu wysp Azorskich. Przez trzy dni i trzy noce kapitan Allan Rewers nie schodził z mostu kapitańskiego. Mimo, iż miał na sobie płaszcz sztermowy był przemoczony do nitki, gdyż rozszalałe fale sięgały górnego pokładu.

Gdy wreszcie w czwarty dzień wiatr ucichł i niebo nieco się przetarło kapitan Rewers poczuł, że nogi się pod nim uginają jak by były z gumy. Zdał zastępstwo pierwszemu oficerowi i polecił mu przeprowadzić obliczenie długości i szerokości geograficznej. Przypuszczał, że "Alabama" zboczyła znacznie z kursu.

Ocean wciąż jeszcze się nie uspokoił i boczne przechyły statku były znaczne. Trzymając się poręczy kapitan zeszedł po schodach na korytarz, na którym znajdowała się jego kajuta. Aż tu dochodził z luków zapach ananasów, załadowanych na Antylach.

Z trudem otworzył drzwi i zaraz przekreślił kontakt. Łagodne światło elektryczne zalało pokój, ukazując świeżo zasłaną koję i pasiastą pizamę, ułożoną pieczołowicie na poduszce przez stewarda Roberta. Roberts jeździł już z kapitanem bez mała dwadzieścia lat i doskonale znał jego przyzwyczajenia. Toteż kapitan wiedział, że za chwilę zjawi się we drzwiach kanciana postać stewarda.

— Kawa i rum, panie kapitanie.

— Dziękuję, Roberts. Pomóżcie mi zdjąć płaszcz i marynarkę. Mam ręce jak z waty.

— Ale pan kapitan przemoczony! Kąpiel przygotowana.

— Dobrze, Roberts. Stójcie przy mnie kiedy będę się kąpał, bo boję się, że zasnę w wannie.

— Tak jest, panie kapitanie. Co chciałem powiedzieć? Czy pan kapitan wie kogo zastałem w kajucie kiedy wszedłem tam pół godziny temu? Na dywaniku przed koją siedział olbrzymi szczur i patrzył na mnie beczelnie świdrowanymi oczkami. Jak żyję nie widziałem tak wielkiego szczura, brakowało tylko korony na głowie, a można by pomyśleć, że to król całego szczurzego rodu. Pan kapitan pozwoli umyć sobie plecy? I wcale nie miał zamiaru uciekać. Dopiero kiedy zamachnąłem się na niego szczotką raczył się ruszyć z miejsca i znikł sam nie wiem gdzie.

Kapitan Rewers zrobił zdziwioną minę.

— Zaledwie tydzień temu intendent zapewniał mnie, że na statku nie ma ani jednego szczura.

— Opowiadam tylko to co widziałem na własne oczy.

— Wierzę wam, Roberts. Muszę o tym powiedzieć Smithowi. Diabelnie mi się chce spać. Uff, ten sztorm będę długo pamiętać. Czy kawa jest gorąca?

— Tak jest, panie generale, — odpowiedział Hansio z nie małą dumą.

— No, tak ja pana kapitana wsadzę do aresztu! — zawyrokował generał. — Posiedzi pan na razie dwa tygodnie; oficerom nie wolno pisać żadnych bredni i drukować po gazetach!...

Po południu tego samego dnia, spotkałem Śliwińskiego na ulicy. Szedł z głową zwieszoną na piersi. W rękę trzymał małą walizeczkę. Nie widział nikogo dookoła siebie.

— Co to, wyjeżdżasz? — zainteresowałem go.

— Tak, do więzienia... — jęknął.

Areszt, mieścił się na poddaszu domu Komendy Obozu. Tam to zdażał Śliwiński.

— Odprowadzę cię... — zaofiarowałem swoją pomoc, odbierając mu z ręki walizeczkę.

Podczas drogi, opowiedział mi co się stało.

— Napisałem o Polsce jak cierpi... — mówił, — napisałem o obozach koncentracyjnych i za to mnie posyłają do kryminału!

Nerwy miałem już dobrze nadszarpnięte i wściekłem się. Poszedłem do generała. Przyjął mnie bardzo zimno.

— Niech pan się nie wtrąca do nieswoich spraw. — powiedział. — Ja znam regulaminy i pan mnie ich uczyć nie będzie.

W podnieceniu robi się głupstwem: zatelefonowałem do Izby Gmin do Londynu. Podałem numer telefonu mojego pensjonatu. Późnym wieczorem usłyszałem w słuchawce głos prof. Savore'go.

Następnego dnia uwolniono Śliwińskiego z aresztu.

— Coś ty zrobił — strofował mnie Hansio. — Miałem tam spokój i zacząłem pisać lozplawę o preludiach Chopina...

Zdaje mi się, że Śliwiński snobował tym kaleczeniem polskiego języka. "Preludium" brzmiało zupełnie poprawnie.

Ktoś się musiał na naszej "górze" opamiętać bo zaczęto "rozładowywać" nasz obóz. Luksusowa Bereza powoli pustoszała. Pobyt w niej, nie wzmocnił mojego zdrowia.

Wysłano mnie do szpitala.

— Jak najbardziej.

— No, to możecie już iść. Tak, i nie zapomnijcie mnie obudzić za sześć godzin.

Te ostatnie słowa kapitan Rewers wypowiedział leżąc już w koi i zaraz potem ogarnął go ciężki, kamienny sen. Nie zdawał sobie sprawy jak długo spał, ale pierwszą jego myślą kiedy się obudził było sięgnięcie po termos z gorącą kawą. Ze zdziwieniem przekonał się, że nie może poruszyć ręką.

— Co, u licha, — pomyślał — gdzie ja jestem?

Pokój, w którym leżał, nie przypominał w niczym kajuty kapitańskiej na "Alabamie". Miał kształt trójkątny. Również dwa duże okna były trójkątne, a wszystkie sprzęty oscylowały pomiędzy trójkątem, a sześciokątem i były zrobione z jakiegoś lekkiego materiału o nadzwyczaj żywej barwie niebieskawo-fioletowej. W pobliżu jednego z okien stała na trójnogu doniczka z rośliną nieznaną Rewersowi. Z delikatnego listowia wychylały się kwiaty podobne do żarłoczych ust.

Coś nieuchwytnie niepokojącego było w tym pokoju czego kapitan nie umiał sobie wytłumaczyć. Wrażenie to potęgował zapach perfum przypominających nieco zapach ananasa pomieszany z pizmem.

— Co, do diabła, — powtórzył kapitan Rewers — gdzie ja jestem i dlaczego nie mogę się poruszyć?

Teraz dopiero spostrzegł, że jest przywiązany do łóżka wieloma cienkimi i niewidocznymi mocnymi niciami.

— Jak Guliwer kiedy schwytał go Lilipuci — uśmiechnął się. — Nigdy nie śniło mi się nic podobnie niedorzecznego. Bo przecież to mi się tylko śni, przecież położyłem się

spać w swojej koi na starej "Alabamie" po środku oceanu Atlantyckiego. Za chwilę albo sam się obudzę albo obudzi mnie Roberts. Minęło już chyba sześć godzin, powinien się zaraz zjawić.

Nie mógł się jednak przebudzić. Zniecierpliwiony wyprężył mięśnie. Więzy nie puściły. Ciało go bolało, to nici wpiły się głębiej, a ból który przy tym sprawiał podobny był do nakłuwania szpilkami.

Leżał na wznak, mógł jedynie poruszać głową w prawo i w lewo. Spojrzał teraz w górę i to co zobaczył nappełniło go przerażeniem.

Z sufitu spuszczał się olbrzymi pajak o błękitnym tułowiu. Z na wpół otwartej gęby sterczały ostre zęby. A oczy... oczy... Kapitan mógłby przysiąc, że są to oczy inteligentne, zło i okrutne.

Pajak spuszczał się coraz niżej, gęba jego dotykała już prawie szyi kapitana Rewersa. Zapach pizma połączony z zapachem ananasa spotęgował się.

Kapitan Rewers nie mógł już tego wytrzymać nerwowo. Krzyknął i nareszcie obudził się.

Nad nim stał Roberts.

— Przyszłem w samą porę — powiedział. — Byłby pana zagryzł. Kiedy otworzyłem drzwi siedział panu na grdyce. Całe szczęście, że nie rozstaje się nigdy z nożem. Niech pan spojrzy.

Na podłodze koło koi leżał duży martwy szczur. Czarne, błyszczące oczki zachowały jeszcze wyraz okrucieństwa.

Zbigniew Stachowiak.

Mówił o nas światu...

Siedemdziesiąt pięć lat temu na jednej ze stacji kolejowych, znajdujących się na terenie dzisiejszych Moraw, odstawiono o świcie zaplombowany wagon idący z Genewy do Krakowa. Wieczorem przyczepiono wagon do towarowego pociągu, a rankiem odczepiono go znów na jednej z galicyjskich stacyjek. Tymczasem wzdłuż trasy kolejowej zbierały się tłumy pytając gorączkowo: — Czy już nadjechał? Kiedy przybędzie wagon? Co było powodem tej, w największej tajemnicy odbywanej, ostatniej drogi autora "Starej Baśni", zmarłego podczas trzęsienia ziemi w Szwajcarii, Józefa Ignacego Kraszewskiego? Tajemnica niebawem się wyjaśniła: władze austriackie, obawiając się manifestacji patriotycznych, które przygotowała młodzież, postanowiły cichaczem, przetransportować trumnę ze zwłokami Kraszewskiego do Krakowa, gdzie miało pochować w grobach zasłużonych na Skałce, twórcę największego cyklu powieściowego o historii Polski. Nie pomogły nic zarządzenia władz austriackich. Tłum przerwał kordony policyjne, młodzież chwyciła trumnę na ramiona i przy dźwiękach żałobnego "Marsza Chopina" poniosła ją ulicami Floriańską, Rynkiem, Grodzką na Skałkę. Wśród tłumu studentów siedł jeden z najzbarliwszych jego czytelników — Stefan Żeromski, notując potem w swym dzienniku: "Marsz Chopina nad trumną Kraszewskiego. Biuście tych dwu ludzi stały obok siebie niemal i latała między nimi kamiennymi twarzami pieśń pogrzebowa. Stał milczący tłum, izy były w oczach, bladeść w twarzach... płacz grobowy... Człowiek ten mówił o nas światu, cierpiał za nas i umarł tak, jak umierali wielcy nasi poeci: daleko od nas, w biedzie, w hotelu... Śpij nieustrudzony starcze! Szczęśliwyś, że ziemia, którą kochałeś, wiecznie pamiętać cię będzie".

* * *

W roku 1962 Polska obchodziła 150-lecie urodzin i równocześnie 75-lecie śmierci twórcy historycznej powieści polskiej, autora powieści ludowych, rozpraw historycznych i innych dzieł, które razem zebrane tworzą całą bibliotekę, liczącą 600 tomów; ten podwójny jubileusz poświęcony pamięci wielkiego pisarza obchodzony był jako "Rok Kraszewskiego". Z uroczystościami ku jego czci związane wiele projektów — m. in. otwarcie Muzeum im. Kraszewskiego w Romanowie na Lubelszczyźnie, gdzie wielki pisarz spędził swoje dziecińskie lata, uroczystości w Białej Podlaskiej, gdzie uczęszczał do szkół i którą to miejscowość uwiecznił w powieści "Na bielskim zamku" i jeszcze w kilku innych. Warszawa, w której przyszedł na świat 28 lipca 1812 r. zamierza urządzić muzeum pamiątek po Kraszewskim, który tu w zachowanym po dziś dzień domu przy ul. Mokotowskiej, spędził ostatnie chwile swego życia przed wyjazdem na emigrację do Saksonii.

Ciężkie to były lata. Coraz sroższy był ucisk carski wobec ludności polskiej, naród gotował się do powstania, a patriotyczne wy-

silki paraliżował margrabia Wielopolski, prowadzący politykę ugodową z zaborcą. Kraszewski, który wówczas zajmował się pracą dziennikarską w Warszawie, występował przeciwko polityce Wielopolskiego. Kiedy w jednym z artykułów stanął po stronie ludności, manifestującej przeciwko carskim represjom, przysłano mu nakaz opuszczenia granic państwa rosyjskiego. Kraszewski przenosi się do Dreżna. W ciągu 20 lat pobytu w tym mieście, pisze cykl historycznych powieści, obejmujących dzieje Polski od czasów przedhistorycznych — "Stara Baśń" — aż po czasy sobie współczesne: tą ostatnią jest mało znana powieść "Szalona" o dziejach Polki z postępowymi przekonaniami, biorącej udział w wojnie Francji z Prusami. "Stara Baśń" ukazuje się w 1876 r., a w 3 lata później przyjeżdżają do Dreżna deputacje ze wszystkich trzech zaborów Polski, aby złożyć hołd pisarzowi obchodzącemu 50-lecie swej działalności literackiej. Listy, telegramy, wieńce, akty hołdu na pergaminie, medale wybite na cześć pisarza zapelniają dom przy Nordstrasse 31 w Dreżnie, w mieście tym kilkanaście miesięcy temu otwarto "Muzeum Kraszewskiego": zgromadzono w nim cały szereg realiów do saskich powieści Kraszewskiego, jakie napisał w tym właśnie domu: "Hrabina Cosel" — "Starosta Warszawski" słynny Bruehl, "Saskie ostatki". W dreźniejskim muzeum znajdują się autentyczne meble Augusta Mocnego, serwis Bruehla, kolekcja słuckich pasów, oraz złoty pierścień z krwawnikiem ofiarowany przez rodaków, przebywających na obczyźnie, mieszkającemu na emigracji pisarzowi.

Tragicznie zakończył się pobyt Kraszewskiego na wygnaniu. Oskarżony przez władze pruskie o wydanie Francji tajemnic wojсковych — konkretnie marszu armii niemieckiej na zachód — stanął przed sądem w Lipsku. Podczas rozprawy prokurator odczytał list kanclerza Bismarcka zarzucający Kraszewskiemu, że jest agentem biura wywiadowczego, zorganizowanego przez polskich emigrantów na polecenie rządu francuskiego. Kraszewski kategorycznie zaprzeczył, ale sąd pruski zasądził pisarza na trzy i pół roku więzienia; chodźło o skompromitowanie Polaka, którego imię głośne było w kraju i za granicą. Naród nie wierzył i murem stanął przy ukochanym pisarzu. Schorowany, wycieńczony półtorarocznym przebywaniem w celi więziennej Magdeburga został Kraszewski zwolniony za kaucją i opuścił Niemcy udając się do Szwajcarii. Zamieszkał w San Remo pod Genewą. Niespodziewane trzęsienie ziemi oberwało żyrandol w pokoju, gdzie znajdował się Kraszewski i poraniło pisarza. Przewieziony do szpitala zmarł 19 marca 1887 roku.

"Nieszczęściem został dotknięty naród Polski — pisał "Dziennik Poznański" — Stolica Jagiellonów pomieściła zwłoki zmarłego w Szwajcarii Kraszewskiego, jak pomieściła dawniej zwłoki zmarłego w tejże Szwajcarii Kościuszki". Zegnała go cała Polska.

Adrian Czerwiński.



Chemia - przemysłem narodowym

Prawie 1 milion ton kwasu siarkowego, 400 tys. ton karbidu, 650 tys. ton nawozów azotowych i fosforowych, niemal 36 tys. ton karbidu syntetycznego, 90 tys. ton włókien chemicznych, 175 tys. ton wyrobów gumowych (nie licząc opon), ogromne ilości wszelkiego rodzaju, znanych ze swej jakości, medykamentów i wiele, wiele innych artykułów — wyprodukuje w tym roku polski przemysł chemiczny. Już od kilku lat notuje on najwyższe tempo wzrostu wśród innych gałęzi przemysłowych w Polsce. Obok górnictwa i energetyki oraz przemysłu ciężkiego — właśnie chemia w Polsce otrzymuje obecnie największe środki finansowe i materiałowe na swą dalszą rozbudowę.

W ciągu 1962 r. oddano do użytku ponad 100 fabryk chemicznych o istotnym znaczeniu dla gospodarki narodowej i dalszego rozwoju eksportu produktów chemicznych. Wśród tych stu fabryk do ważniejszych należą nowe "ciagi" produkcji amoniaku syntetycznego w Zakładach Chemicznych w Tarnowie i Kędzierzynie oraz Fabryki Superfosfatu w Tarnobrzegu i Luboniu, rafineria ropy naftowej w Czechowicach (500 tys. ton rocznej produkcji, nowe działy produkcji opon samochodowych i rowerów).

Tempo prac inwestycyjnych polskiej chemii w 1963 r. zostanie jeszcze zwiększone. Przewiduje się ukończenie budowy ponad 150 obiektów, w tym zakładów produkcji nawozów, fabryk przędzy i ciętego włókna sztucznego oraz działów produkcji kwasu siarkowego. Równolegle prowadzone będą prace przy budowie dalszych zakładów. Obecnie inwestycją numer 1 w skali całej Polski są zakłady Rafinerijne i Petrochemiczne w Płocku. Surowiec dla tego wielkiego kombinatu dostarczany będzie ze Zw. Radzieckiego wielkim rurociągiem.

Zrozumiałe jest, że przy tak wielkich nakładach inwestycyjnych w 1962 r. tempo wzrostu produkcji chemicznej w Polsce było prawie dwukrotnie wyższe od

wzrostu produkcji w całym przemyśle. Uruchomiono produkcję ok. 230 nowych wyrobów, o tak dużym znaczeniu jak np. antyutleniacz do produkcji kauczuku, emalia elektroerozyjna do blach magnetycznych, specjalne żywice do produkcji wyrobów lakierniczych i elektroizacyjnych, lakiery bitumiczno-epoksydowe, zabezpieczające przed korozją kadłuby statków, nowe środki ochrony roślin oraz nowe lekarstwa.

W ub. roku w Polsce wyprodukowano 209 tys. ton siarki, 852 tys. ton kwasu siarkowego, w przeliczeniu na kwas 100 procentowy, 541 tys. ton sody kaucynowanej i 198 tys. ton sody kaustycznej, 308 tys. ton nawozów azotowych w przeliczeniu na czysty składnik i 265 tys. ton i w taki sam sposób przeliczanych nawozów fosforowych, ponad 33 tys. ton kauczuku syntetycznego, 76 tys. ton włókna celulozowego i 6,2 tys. ton włókna syntetycznego, 82,5 tys. ton tworzyw sztucznych. We wszystkich tych wyrobach uzyskano w porównaniu z rokiem poprzednim wzrost produkcji sięgający od 3 do blisko 20 procent.

Rozwój przemysłu chemicznego w ostatnich kilku latach pozwolił nie tylko na wydatną poprawę zaopatrzenia kraju w szereg artykułów chemicznych, ale również na zwiększenie eksportu. Jeżeli poziom eksportu surowców, półfabrykatów i gotowych produktów w 1955 r. przyjmujemy za 100, to wskaźnik ten w r. 1960 r. wyniósł już 233. Dwa następne lata przyniosły zwiększenie dostaw tych towarów za granicę o następne ok. 40 proc. W efekcie więc wyroby chemiczne, stanowiące w polskim ogólnym eksporcie w 1955 r. zaledwie 2,3 proc., powiększyły swój udział w 1962 r. do ok. 5,5 proc. (a przecież w tym czasie ogólny eksport polski wzrósł bardzo poważnie!) Wpływ z tytułu sprzedaży za granicę surowców, półfabrykatów i gotowych produktów chemicznych wynoszą obecnie około 90 mln dol. Biorąc bardzo szacunkowo, rok 1963 ma przynieść wzrost eksportu produktów chemicznych o ok. 11 proc.

Do najpoważniejszych pozycji w dostawach zagranicę należą: soda kaucynowana i kaustyczna, benzol, karbid, naftalen, biel cynkowa i artykuły farmaceutyczne. Te ostatnie wykazują nie tylko duży udział w całości eksportu chemicznego (ok. 20 proc.), ale bodajże największą dynamikę wzrostu — określa się bowiem wzrost wywozu produktów polskiej farmacji na ok. 100 proc. corocznie.

I znowu warto podać najważniejsze pozycje, którym w eksporcie farmacji są antybiotyki, sulfamidy oraz hormony starydowe. Wśród 50 krajów, kupujących polskie leki, największymi odbiorcami są: ZRSS, Dania, Szwajcaria, Indonezja, USA, Jugosławia. Spodziewać się można, że w najbliższych latach na liście tej znajdą się również Włochy, gdyż polsko-włoski protokół handlowy na 1963 r. przewiduje właśnie zwiększone zakupy polskich produktów chemicznych.

Równolegle Polska prowadzi bardzo rozległy import surowców, półproduktów i gotowych wyrobów chemicznych. Obecnie na ten cel wydaje się ok. 24 mln dol. Mniej więcej 46 proc. całości tych zakupów stanowi ropa naftowa i produkty naftowe. Dalsze zaś 20 proc. to kauczuk naturalny i syntetyczny, nawozy azotowe oraz olejki. Na listach zakupów figurują także farmaceutyki, barwniki, lakiery, fotochemikalia itp.

TADEUSZ SAPOCIŃSKI

Ceny artykułów pierwszej potrzeby w Polsce

Podajemy poniżej ceny artykułów pierwszej potrzeby w Polsce przesłane przez naszego korespondenta warszawskiego (czerwiec 1963 r.):

Pieczywa:

Chleb żytni pyłtowy kg.	3 zł.
Bułka francuska sztuka	4 zł.
Buleczka sztuka	40 zł.
" większa	50 zł.

Nabiał:

Masło	70 zł.
Mleko litr	3 zł.

Mięso:

Mięso wołowe bez kości kg.	44 zł.
Wieprzowina z kością kg.	44 zł.
Szab delikatesowy bez kości kg.	66 zł.
Polędwica kg.	76 zł.
Kura sztuka	od 40 do 60 zł.

Inne artykuły:

Cukier kg.	12 zł.
Mąka pszena kg.	6 zł. 70 gr.
Margaryna zwykła 1/4 kg.	6 zł.
Margaryna Palma 1/4 kg.	8 zł. 50 gr.



Trzej uczniowie klasy VI szkoły podstawowej w Rybniku znalazło w składnicy makulatury starych książek *Pięcioksiąg Mojżesza* i *Nowy Testament* w tłumaczeniu Marcina Lutra drukowany w r. 1646 - 1652.

KAPITALIZM LUDOWY

Słowo "ludowy" przyczepia się w różnych miejscach na świecie i do różnych instytucji, ale zawsze w tych samych celach: propagandowych. Używają go i używały różne partie polityczne, które zresztą z tym samym powodzeniem mogłyby wstawić do swojej nazwy przymiotnik "księżycowy", gdyż przeważnie tyle akurat mają do czynienia z ludem, co z satelitą ziemskim.

Niektóre państwa socjalistyczne nazywają się "demokracjami ludowymi", nie używając oficjalnie nazwy "republika socjalistyczna". Są tacy, którzy twierdzą, że mówić o demokracji ludowej, to tak, jakby mówić o masle maślanym, ale mają rację tylko z czysto historycznego punktu widzenia. Słowo greckie "demos" oznaczało warstwę uboższą, proletarijat, lud — jak kto chce, a demokracja — rządy tej warstwy społecznej, a więc jakby storożytna dyktatura proletariatu. Z biegiem czasu jednak przez demokrację zaczęto rozumieć ustrój, w którym wszyscy członkowie danego narodu mają te same prawa obywatelskie, jednakowo niezależnie od stopnia zamożności, prawa, ujawniające się przede wszystkim w posiadaniu prawa wyborczego. Według tego typu demokracji "zachodniej" wszystkie warstwy, a nie tylko niektóre, choćby najliczniejsze, mają wpływać, przynajmniej w teorii, na władzę w państwie przez powszechne wybory do parlamentu. Kraje, gdzie ten system jako tako funkcjonuje, można policzyć na palcach jednej ręki. Przeważnie wybory są "powszechne", ale głosuje się na jednego kandydata, z góry wyznaczonego przez czynniki, sprawując dyktaturę. Albo też administracja pomaga. W jednym z krajów policja, aby ułatwić obywatelom spełnianie obowiązku obywatelskiego, rozdawała zamknięte koperty z kartami. Gdy jeden ciekawski wyborca chciał otworzyć kopertę, policjant zwrócił mu ostro uwagę: — Czyż nie wiecie, że w naszym państwie wybory są tajne!

W odróżnieniu od demokracji, którą socjaliści nazywają "kapitalistyczną", demokracja ludowa ma oznaczać władzę, ale wiadomo, że władzę sprawuje nie lud, ale dyktatura, nie tyle proletariatu, ile partii.

O ile zatem przymiotnik "ludowy" jest taki elastyczny, to nie można się dziwić, że w końcu przyczepiono go — w Stanach Zjednoczonych, bo gdzie indziej to mogłoby być wymyślone — do kapitalizmu. Mówi się tam o teorii, bo trudno nazwać to ideą — kapitalizmu ludowego (people's capitalism).

Propaganda ta wyszła z nowojorskich sfer giełdowych, a więc tych sfer, które prasa socjalistyczna całego świata uważa za spiritus movens całego świata kapitalistycznego. Jeżeli jednak odrzucić dymne zasłony propagandy, to można wyrobić sobie właściwą opinię o wpływach sfer giełdowych.

Instytucja giełd jest czymś bardzo specyficznym dla systemu kapitalistycznego, czymś nie do pomyślenia w ustroju komunistycznym, zarówno, jeśli chodzi o giełdy towarowe, jak pieniężne. Giełdy towarowe: metalowe, zbożowe i t. d. są miejscami targów, tym tylko różniącymi się od targowisk ulicznych, że transakcje są dokonywane na wielką skalę. Działalność giełd pieniężnych jest nieco bardziej skomplikowana. W systemie kapitalistycznym do produkcji potrzebny jest kapitał i to kapitał prywatny. Nabywcami tego kapitału są nowotworzące się lub powiększające przedsiębiorstwa, a dostarczycielami banki, instytucje oszczędnościowe i kapitały osób prywatnych. Musi być miejsce wymiany tego kapitału, istniejącego w formie akcji, obligacji o stałym oprocento-

waniu i t. p. i tę rolę spełniają giełdy pieniężne.

Najbardziej znana na świecie jest Wall Street nowojorska, która jest symbolem, niezawsze zaszczytnym, kapitalizmu. Mówi się, że Wall Street rządzi światem kapitalistycznym, co jest oczywistą przesadą. Sama instytucja giełdy nie ma i nie może mieć wpływu politycznych, a nawet gospodarczych. Jeśli mówi się o wpływach Wall Street, to dotyczy to raczej wielkich banków i przedsiębiorstw amerykańskich, które zresztą często mają biura w okolicach Wall Street, w tej samej dzielnicy New Yorku, Manhattan, stanowiącym jego "City".

Pośredni wpływ giełdy Wall Street był w przeszłości — dziś to nie mogłoby się powtórzyć — nieprawdopodobnie wielki. Wywołała go wielka spekulacja na zwykłe cen akcji. O ile giełdy w ustroju kapitalistycznym mają do spełniania określoną funkcję gospodarczą, o tyle jednocześnie stają się miejscem spekulacji na zwykłe — cen akcji czy towarów. Spekulacja taka niema żadnego wpływu dodatniego na gospodarkę narodową, przeciwnie może ją zakłócać w sposób jak najbardziej niepożądany. Ponieważ poza tym giełdy są łatwym terenem dla różnych mniejszych i większych kantów, więc i giełdy i giełdźarze nie mają zbyt dobrej opinii w szerszych sferach. Niedawno min. skarbu najbardziej dziś kapitalistycznego kraju na świecie, Afryki Południowej, powiedział, otwierając nowy gmach giełdy w Johannesburgu: — Zdaję sobie sprawę ze wszystkich złych stron giełdy — gdybym mógł zamiast otwierać, zamknąłbym ją. Ale nie mogę, nie mam jej czym zastąpić!

Spekulacja giełdowa wynika z tego, że kursy akcji w zależności od warunków politycznych, gospodarczych i innych wahają się w dużych granicach i mogą być źródłem dużych i łatwych zarobków. Zasadniczo właściciel akcji powinien traktować je, jako inwestycję i liczyć tylko na dochód z dywidend, który będzie większy, niż gdyby oddał pieniądze do banku lub kasy oszczędnościowej. Ale wystarczy zapytać jakiegokolwiek brokera (agenta, który ma wstęp na giełdę i kupuje tam i sprzedaje akcje swoich klientów), czy jego klienci spośród szerokiej publiczności tak właśnie odnoszą się do akcji. Napewno odpowie, że większość mówi: "Niech pan mi kupi akcje". "Jakie akcje?". Te, które pójdą góra. Oczywiście, nikt nie wie, które akcje pójdą w górę, nawet brokerzy. Gdyby wiedzieli sami zostaliby przedko milionerami.

Otóż ta szeroka publiczność, szczególnie amerykańska, kupuje akcje, jakiegokolwiek akcje, gdy na giełdzie jest tendencja wzrostowa i to sprawia, że zwykła cen staje się zjawiskiem łańcuchowym lub tym, co w chemii nazywa się reakcją autokatalityczną: produkt reakcji jest katalizatorem, który ciągle przyspiesza reakcję. Oczywiście, takie zjawisko nie może trwać wiecznie — musi przyjść moment, kiedy akcje zaczynają spadać i wówczas zachodzi odwrotne zjawisko: spadek cen, który może stać się lawiną. Podobnie do lawiny jest tym bliższe, że spadek cen może zacząć się od drobnego faktu, jak lawina od małego kamyczka. Jeden z takich spadków był spowodowany atakiem sercowym, zresztą lekkim, prezydenta Eisenhowera.

Stany Zjednoczone były widownią krachów giełdowych od początku swego istnienia i doświadczały w następstwie wstrząsów gospodarczych, ale przy ich ówczesnej dynamicznej gospodarce, wszystko prędko wracało do normy. Dopiero krach na Wall Street w 1929 postawił Stany Zjednoczone i cały świat

kapitalistyczny nad brzegiem przepaści. Od tego czasu datuje się w Stanach kontrola nad giełdą i spekulacją.

Krach w 1929 był wywołany zwykłą kursością akcji od 1924 roku. Istniały, rzecz jasna, wahania, ale ogólna tendencja była wzrostowa i doprowadziła do tego, że średni wskaźnik cen akcji przemysłowych wzrósł od początku 1924 do września 1929 przeszło 400 procent, czyli kto kupił akcje w 1924 mógł mieć cztery razy większy kapitał, o ile chciwość nie kazała mu dłużej czekać. Dywidendy od dobrych akcji przynosiły 1% od kapitału wyłożonego na akcje po ówczesnych cenach i było jasne, że te ceny nie są gospodarczo uzasadnione. Ale ówczesny rząd amerykański nie robił nic, aby ukroić spekulację. Prezydentem był Calvin Coolidge, który, jak zresztą bardzo wielu mężów stanu, nie miał najmniejszego zrozumienia dla spraw gospodarczych. Według lapidarnego wyrażenia angielskiego: "Knew nothing and cared less" (nic nie wiedział, a jeszcze mniej się troszczył). Przeszedł on do historii Stanów jako najbardziej małowolny prezydent. Warto przytoczyć co opowiadano na ten temat. A więc jakaś światowa dama szła na przyjęcie do Białego Domu i pewna swego czaru, założyła się z przyjaciółką, że wciągnie Coolidge'a do rozmowy i wydobędzie z niego więcej, niż tradycyjne dwa słowa. Jednak gdy na przyjęciu nawiązała rozmowę, prezydent milczał jak zakłuty. Widząc, że nie ma nic do stracenia, powiedziała mu o zakładzie i rzuciła czarujące spojrzenie. "Pani przegrywa" — powiedział Coolidge, uklonił się i odszedł. Innym razem udał się do kościoła bez żony. Po powrocie, żona zaczęła go wypytywać o szczegóły nabożeństwa. "O czym było kazanie?" "O grzechu". "No, dobrze, ale co pastor mówił o grzechu?" "Był przeciwny".

Ten wielki "milczek" oddał władzę w początkach 1929 Herbert Hoover'owi, żyjącemu do dziś i posiadającemu pewne powiązania z Polską. Po I wojnie światowej stał on na czele pomocy amerykańskiej dla Europy i w tym charakterze odwiedził Polskę. Wspomina ze wzruszeniem gorące powitanie, jakie mu zgotowała Warszawa, Hoover miał zrozumienie dla niebezpieczeństwa spekulacji na giełdzie, ale był bezsilny. Były to jeszcze czasy prawie nieograniczonego kapitalizmu i wszelkie wtrącanie się rządu do spraw gospodarczych jak najostrzej zwalczano. No, i przyszło, co przyjść musiało. 29 października 1929 nastąpił krach, jakiego dotychczas jeszcze nie było. Można wówczas było kupować akcje na kredyt bez ograniczeń i dziesiątki tysięcy ludzi zostało kompletnie zrujnowanych, gdy banki i brokerzy zaczęli sprzedawać ich zastawione akcje po każdej cenie, byle tylko wycofać swoje pieniądze. Doszło do tego, że w lipcu 1932 ceny akcji spadły do połowy wskaźnika z 1924 t. j. do 1/8 swej wartości z okresu najwyższych cen. Krach na Wall Street spowodował depresję gospodarczą w Stanach, która przy ówczesnych powiązaniach gospodarczych rozszerzyła się na cały świat kapitalistyczny. Spowodowała ona 7 milionów bezrobotnych w Niemczech i to było niewątpliwie głównym powodem dojścia Hitlera do władzy ze wszystkimi ujemnymi następstwami. Można więc powiedzieć, że wówczas Wall Street wpłynęła na historię świata.

Krach ten zniechęcił szeroką publiczność do giełdy, ale ponieważ na świecie wszystko się zapomina prędzej czy później, więc tak samo było z krachem giełdowym. Nie tylko o nim zapomiano, ale Wall Street pod nowym kierownictwem od 1951 zaczęła wyrażać propagandę, aby akcje nabywali drobni

kapitałiści zamiast lokować oszczędności w bankach. Doszło do tego, że propagowano nabywanie akcji przez młodzież szkół średnich, organizowano "kluby inwestycyjne" i związki pań domu, które przy herbatce, prawdopodobnie po zreferowaniu bieżących plotek, zastanawiały się jakie akcje kupić zbiorowo. Akcja, prowadzona jak wszystko w Stanach z rozmachem, dała rezultaty. O ile w 1952 roku, gdy pierwszy raz przeprowadzono tego rodzaju obliczenia, 6½ miliona ludzi w Stanach posiadało akcje, to w 1962 liczba ta wzrosła do 17 milionów. Teraz jest prawdopodobnie mniejsza, bo w maju 1962 nastąpił znowu krach, który jednak nie pociągnął za sobą złych skutków dla gospodarki amerykańskiej. Ten krach, jak i inny w 1957 nie są niczym w porównaniu z r. 1929. Jest takie powiedzenie w New Yorku, że gdy następuje zniżka ludzkie zadzierają głowy na Wall Street i patrzą na górne piętra. W 1929 rzuciło się na bruk kilkunastu zrujnowanych milionerów; — póki tego nie widzi się, krach nie jest groźny. Oczywiście, obecnie rząd ma wpływ na giełdę i przede wszystkim ogranicza spekulacje przez zasadę nabywania akcji za gotówkę i inne zarządzenia.

Ale i przy mniejszych krachach tracą poważnie mali kapitałiści, gdyż zawodowcy orientują się lepiej i wiedzą z większym prawdopodobieństwem, kiedy sprzedawać lub kupować. Toteż jeżeli kiedy, to teraz idea kapitalizmu ludowego może uciepnieć.

Nie byłoby z tego powodu szkody dla ludzkości. Sama teoria kapitalizmu ludowego, wpałania w młodzież zamilowania do spekulacji i groszorbstwa, jest brutalnym materializmem, stanowiącym zaprzeczenie jakichkolwiek szlachetniejszych pobudek w działaniu ludzkim. Gdy jeden z propagatorów kapitalizmu ludowego mówi o nim jako o moralnej przeciwwadze socjalizmu, to tylko można zapytać co w tym jest moralnego? Świadczy to tylko o tym, że świat biznesu ma ograniczone poglądy na współczesne zagadnienia. Można wysuwać krytyki, często bardzo uzasadnione, założeń gospodarczych socjalizmu i kwestionować ich realność w obecnym świecie przy nastawieniu ludzkości na korzyści materialne przede wszystkim, ale stawiać na jednym poziomie moralnym dążenia kapitalizmu i socjalizmu, to tak jakby porównywać chrześcijaństwo i pogański kult Złotego Cielca! Świat idzie w kierunku wyrównywania różnic społecznych uznawanych i pielęgnowanych przez kapitalizm i na to nie ma rady. Jeszcze sto lat temu zwalczano progresywny podatek dochodowy, jako niemoralny, zaprzeczający pojęciu własności. Dziś podatek ten w Anglii i w Stanach wynosi od dużych dochodów ponad 90 procent i nikomu nie przyjdzie do głowy odwoływać się do norm moralnych w tej sprawie.

Na najbliższym od nas terenie, w Brazylii oczywiście śmieszne byłoby propagować kapitalizm ludowy. Giełdy i akcje, pewna spekulacja istnieją. Ale sprawa jest tu bardziej skomplikowana z powodu stałej dewaluacji. Gdyby porównać wskaźnik cen głównych akcji przemysłowych w 1954 (jako 100) i obecnie (ponad 500), to wydawałoby się, że nie chronią one od dewaluacji, gdyż w tym okresie ogólny wskaźnik cen wzrósł ze 100 na 850. Jednak istnieją spółki akcyjne, które przez wydawanie nowych emisji akcji nadążają za dewaluacją. Poza tym bywają ogólne zwyczajne np. od początku bieżącego roku, przypuszczalnie w związku z wysiłkami rządu dla uregulowania spraw finansowych. Wygląda to, że fundusze zwalniane ze spekulacji dolarowej, przetrucane są na rynek akcyjny, nie ma to jednak większego znaczenia dla gospodarki brazylijskiej, w której rola giełdy jest stosunkowo nieznaczna, co dla tejże gospodarki tylko korzystne może być.

A. GAWAR.



NA NASZYM PODWÓRKU — NA NASZYM PODWÓRKU

PRZEGLĄD WAŻNIEJSZYCH WYDARZEŃ

... W SÃO PAULO:

Lipiec, jako tradycyjny miesiąc urlopowy, nie sprzyjał działalności kulturalno-oświatowej. Wszystkie stowarzyszenia polskie w São Paulo ograniczyły działalność do spotkań towarzyskich. Jedynie w Klubie 44 do połowy miesiąca trwała wystawa grafiki Haliny Drapińskiej, ciesząca się niesłabnącą frekwencją.

Klub 44 przygotowuje się do zebrania walnego, które odbędzie się dnia 7 sierpnia o godz. 20 w pierwszym i o godz. 21 w drugim terminie.

Zarząd Klubu prosi nas o zaznaczenie, że zebranie, poza wyborem nowego zarządu, zadecyduje o sprawach najważniejszych dla przyszłości Klubu, dotyczących jego siedziby. Zarząd zwraca się z apelem do członków Klubu, aby nikogo nie zabrakło na zebraniu. Nikt nie może się uchylać od odpowiedzialności za dalsze losy Klubu, a jedynie obecność wszystkich nada uchwałom siłę, która pozwoli nowemu zarządowi na ich realizację. Udział w walnym zebraniu jest więc moralnym obowiązkiem każdego członka Klubu.

W São Paulo bawi członek kolegium redakcyjnego warszawskiego tygodnika kobiecego "Kobieta i Życie" redaktor Irena Dobosz. Red. Dobosz żywo interesuje się przejawami życia kulturalnego Brazylii oraz sytuacją kobiety brazylijskiej.

(J. Grunpeter)

... W RIO DE JANEIRO:

Jak się dowiadujemy znakomity artysta i reżyser teatralny, Zbigniew Ziembiński, ma zamiar udać się we wrześniu do Polski. Po był Ziembińskiemu w Kraju ma potrwać ok. pięciu miesięcy.

Między 10, a 25 lipca ma się odbyć w Rio de Janeiro Konkurs Śpiewaczy. Do jury konkursu komitet organizacyjny zaprosił prof. dr St. Zawadzka. Z Polski wyjeżdża też na konkurs, aby wziąć w nim udział śpiewaczka Halina Stłonica z Warszawy.

(sh)

... W PARANIE:

Najmłodsze stowarzyszenie polskie w Paranie, Towarzystwo im. Ruy Barbosa w Araukarii, przejawia ostatnio ożywioną działalność. Prezes Towarzystwa, p. Józef Knapik, zdołał w ciągu krótkiego czasu doprowadzić do odnowienia siedziby stowarzyszenia i zakupienia niezbędnych krzeseł. W okresie sześciomiesięcznej egzystencji Towarzystwo gościło wielokrotnie na swojej scenie Zespół Folklorystyczny z Kurytyby, Zespół Folklorystyczny z Guajuwira i liczne grupy artystów brazylijskich. Wystawiono też z inicjatywą Romana Wachowicza kilka sztuk teatralnych. W salonach Towarzystwa odbywają się różne zebrania, które stawiają Araukarię na czele miast otaczających Kurytybę. Ostatnio zostało tam zorganizowane zebranie mające na celu powołanie do życia Związku Rolników w Araukarii. Spośród osób szczególnie zasłużonych dla Towarzystwa należy w pierwszym rzędzie wymienić pp. Anasztaza Flizikowskiego, wieloletniego kierownika Godziny Polskiej w miejscowej radiostacji, artystę - malarza Stanisława Kurlę i p. Leśniowskiego.

(fd)

Przedstawiciel filmu polskiego bawił w São Paulo

W São Paulo bawił przez kilka dni, powracając z festiwalu w Mar del Plata, przedstawiciel Filmu Polskiego, dyrektor W. Duda.

Zwróciliśmy się do p. Dudy z prośbą o udzielenie nam krótkiego wywiadu.

— Jakie filmy reprezentowały w tym roku kinematografię polską na festiwalu w Mar del Plata?

— Jeden długometrażowy — był to "Głos z tamtego świata" reż. Stanisława Różewicza i dwa krótkometrażowe: "W 10 minut dookoła świata" i "Flisacy".

Jury festiwalu przyznało nagrodę dla najlepszej aktorki Wandzie Łuczyckiej, która kreowała główną rolę kobiecą w filmie Różewicza, a "Flisacy" otrzymali nagrodę Stowarzyszenia Argentynskich Producentów Krótkometrażowych.

— Jakie filmy wyświetlane w Polsce zyskały najprzychylniejszą opinię publiczności?

— Z krajowych "Nóż w wodzie", a z zagranicznych "W sobotę wieczorem".

— Co pan sądzi o filmie brazylijskim?

— Film brazylijski jest mało znany w Polsce po prostu dlatego, że nie dociera do nas kopie. "Pagador de promessas" był wyświetlany w Polsce na Festiwalu w Warszawie i zyskał bardzo wysoką ocenę krytyki. Prawdopodobnie zostanie zakupiony do wyświetlania w Polsce.

(as)



Przedstawiciel Filmu Polskiego W. Duda z wizytą w Brazylii (pośrodku)

PEWIEN NIESPOKOJNY DUCH

Pracę tę poświęcam Stefanowi Pochwatce.

W styczniu r. 1939 przyjechałem do Herwal d'Oeste, miasteczka oddzielonego od Joaçaba rzeką Rio do Peixe.

Jako fachowy stolarz objąłem tam kierownictwo fabryki mebli firmy Dombrowski i Casagrande, zatrudniającej kilkunastu robotników.

Pewnego dnia, było to około 9 rano, dźbałem coś przy jednej z maszyn, gdy zawiadomiono mnie, że czeka na mnie jakiś człowiek podający się za stolarza i poszukujący pracy. Potrzebowaliśmy stolarzy przerwałem więc swoje zajęcie i poszedłem go zobaczyć.

Kiedy szedłem po schodach do góry zobaczyłem w drzwiach dość wysokiego mężczyznę, już nie pierwszej młodości. Człowiek trzymał w jednym ręku parasol, a w drugim małą walizkę stolarskiej roboty. Garnitur był na nim w paski, od dłuższego użycia nieokreślonego koloru. Kapelusza nie nosił. Spojrzał na mnie i zaraz zaczął mówić po niemiecku. Uśmiechnąłem się i powiedziałem, że znam tylko język portugalski i polski. Od biedy mogę się też porozumieć po rosyjsku.

— A to pan Polak? — roześmiał się. — Ja też jestem Polak. Nazywam się Piotr Mańka.

Przedstawiłem się i ja i zaprosiłem przybysza do kłosa.

— Czym mogę służyć? — zapytałem.

— Jestem z zawodu stolarzem i szukam pracy, panie Kempa.

— Bardzo dobrze, panie Piotrze. Potrzebujemy stolarzy, nawet żeby było trzech. U kogo pan ostatnio pracował?

— Ja, panie Kempa, tutaj nie pracowałem nigdzie. Wczoraj w nocy przyszedłem na piechotę z Rio Grande do Sul, przenocowałem w deskach na stacji kolejowej i szukam pracy, bo od wczorajszego rana nie jeszcze nie jadłem.

Wyjął fajeczkę, podłubał w niej palcem i zaczął zapalać.

Popatrzyłem na biedaka, żał mi się zrobiło i mówię:

— Pracę panu dam, choćby od południa, ale pan musi po takiej podróży odpocząć. Chodź pan ze mną.

Wziąłem go do mieszkania, przedstawiłem rodaka żonie i poprosiłem, żeby mu dała kawę. Później wskazałem dwa pensjonaty, gdzie mógłby się umieścić i powiedziałem, że gdyby żądali gwarancji to ją dam. Po kawie Mańka podziękował i poszedł. Tego dnia nie

wrócił. Nazajutrz przyszedł do pracy na godzinę. Był już po kawie, kupił sobie tytoniu do fajki i wydawał się bardzo zadowolony.

Przepracował trzy dni do soboty, w sobotę rano nie przyszedł. Zjawił się dopiero około dziesiątej, zaczął bardzo przeproszać i zawiadomił, że nie będzie więcej pracować. W ciągu tych trzech dni zauważyłem, że jest naprawdę dobrym stolarzem. Miałem nadzieję, że będę miał z niego niezłą pomoc, więc pytam dlaczego nie chce pracować, bo ani wysokości zarobku nie miał jeszcze ustalonej.

— Widzi pan, panie Kempa, odnalazłem tu jednego znajomego Niemca. Nazywa się Rudolf Kin. Pracowałem z nim w Rio Grande, jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Pójdę do niego. Będę miał mieszkanie przy warsztacie, a tylko stołować się będę w pensjonacie.

— Żałuję bardzo, panie Piotrze, ale trudno: jak pan woli Niemca, niż nas. Ile pan żąda za te trzy dni pracy?

— Właściwie, to ja tu niewiele zrobiłem. Da mi pan, co uważa.

Zawołałem właściciela, ustaliliśmy zapłatę, przyjął, podziękował i poszedł.

W tym czasie był w Joaçaba wicekonsulat niemiecki, Mańka władał dobrze językiem niemieckim, Niemcy wzięli go w tryby, zaczęli wmawiać, że nie jest Polakiem (co później sam mi opowiadał), że się urodził na ziemi niemieckiej i jest rodowitym Niemcem. Doszło do tego, że zarejestrował się w konsulacie jako Niemiec. Przychodził wtedy od czasu do czasu z wizytą, a że lubił dużo czytać pożyczalem mu książki, broszury i gazety o przebiegu wojny, wydawane w Anglii. Twierdził, że kultura niemiecka jest taka wysoka, że nie ma siły, która by się Niemcom oparła i kiedy Niemcy zwyciężą zaprowadzą ład, jak już zaprowadzili w Polsce.

Pewnego dnia szlag mnie trafił na te jego poglądy, powiedziałem litanie o Niemcach i ich kulturze w dosyć ostry sposób. Mańka popatrzył mi w oczy, chwilę jeszcze posiedział, pożegnał się i wyszedł. Od tego czasu nie pokazywał się więcej.

Kiedy Brazylia przystąpiła do wojny i korpus dyplomatyczny wyjechał, zaczęło się masowe aresztowanie Niemców. Pastor, brat Rudolfa Kina, został wywieziony razem z całą gromadą ziomeków. Kościół zamknięto i wszelkie organizacje zlikwidowano. Naszego pana Piotra obłączał tchórz, porzucił pracę u Kina, przyszedł do pewnego Włocha i podał się tam za Polaka.

Obok fabryki Włocha znajdowała się wytwórnia materiałów budowlanych. Budynek był duży, ludzi pracowało w nim mało, udało mi się wynająć część budynku. Przyjąłem kilku ludzi i zacząłem pracować na własną rękę. Roboty miałem aż za dużo na tych paru ludzi, ale pewnej nocy w kilka miesięcy potem wybuchł pożar. Spaliły się obydwie fabryki i ponieważ nie byłem ubezpieczony zostałem całkiem goły. Strata byo poważna, nie zostało mi nic.

Rudolf Kin likwidował wówczas swój zakład i sprzedawał maszyny. Nie miałem grosza przy duszy, ale — przyjaciela, który zaproponował mi pomoc finansową, jeżeli chcę kupić maszyny u Kina. Wykorzystałem naturalnie propozycję, kupiłem maszynę, wynajmalem opuszczony garaż i w kilkanaście dni po pożarze pracowałem na nowo. Moi klienci tylko na to czekali, robota zaczęła napływać. Brakowało mi ludzi. Przypomniałem sobie Piotra Mańkę, dowiedziałem się w

którym pensjonacie mieszka i że jest bez pracy.

Zaszedłem do owego pensjonatu i pytam gospodyni, czy mieszka tu stolarz, który nazywa się Pedro Mańka.

Gospodyni popatrzyła na mnie i mówi:

— Está. Senhor quer falar com ele? Vá lá naquele quarto. Se não está bêbado éste porco sem vergonha. Bata na porta.

Poszedłem we wskazanym kierunku, zapukałem.

Piotr się pyta:

— Quem?

— To ja, panie Piotrze, Kempa.

— Niech pan wejdzie.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Pchnąłem je.

Kiedy wszedłem uderzył mnie w nos smród z fajki, pomieszany z odorem kaszasy, tak, że o mało się nie przewróciłem. Piotr leżał na straszliwie brudnym łóżku z fajką w zębach i czytał jakąś starą gazetę. Obok na podłodze stała butelka wódki.

Pytam, czy nie zechciałby ze mną pracować. Zdziwił się, że tak prędko po pożarze mam znowu własny warsztat. Chciałby u mnie pracować, ale nie wie jak to zrobić, bo stąd chodząc za daleko, a wyjść nie może, bo winien.

— Jeżeli chce pan ze mną pracować to zrobimy tak, że przejmę pański dług i umieszczę pana w pensjonacie w pobliżu mojego zakładu.

Piotr przyjął tę propozycję z entuzjazmem. Pozostała sprawa ugody z gospodynią. Nie miałem pieniędzy, żeby jej zaraz zapłacić. Powiedziałem, aby się zgłosiła za dwa tygodnie, na co się zgodziła. Nazajutrz Piotr się przeprowadził i zaczął pracować. Pracował rzetelnie dwa tygodnie. Na drugą sobotę, pomimo, że był mi winien dałem mu trochę pieniędzy. W poniedziałek się nie pokazał, we wtorek poszedłem zobaczyć co się, z nim stało. Pytam właściciela pensjonatu.

— Ano niech pan zobaczy!

Poszedłem do pokoju Mańki, zajrzałem. Leżał na łóżku, czerwony jak rak, fajka w zębach, butelka z wódką koło niego, a kaluża spod łóżka rozlała się aż na środek pokoju. Tak leżał cały tydzień i pił. Naturalnie kiedy wrócił do przytomności wyrzucili go z pensjonatu. Ulokował się w warsztacie, a jedzenie przynoszono mu z innego pensjonatu.

(Dokończenie nastąpi.)

TEOFIL KEMPA

Z karty żałobnej

Dnia 14 lipca rozstała się z tym światem Helena Ewigkeitowa, żona zasłużonego wydawcy p. Juliana Ewigkeita, byłego wydawcy "Przeglądu Polskiego".

Helena Ewigkeitowa należała do grona tych cichych i gospodarnych kobiet, których niestrudzoną pracę widzi się najlepiej, gdy ich nie stanie. Wtedy dom wydaje się pusty i niezamieszkały.

Zmarła przez dłuższy czas pomagała mężowi w pracach wydawniczych. Obzajomiona była doskonale ze stosunkami i rynkiem wydawniczym w Brazylii.

Cześć Jej pamięci!

(jg)



Święto Kwitnącej Jabłoni Ziemi Nowosądeckiej. Występ zespołu geralnego z Zalesia.

Młode małżeństwo

— No, no, przyszlście mnie odwiedzić po paru miesiącach małżeńskiego szczęścia? Dziękuję wam, zrobiliście mi prawdziwą przyjemność.

Doprawdy, że szczerze lubiłam tych dwoje młodych.

Arnaldo, mimo matki Brazylijki, wydaje się typem Kujawiaka lub Łowiczana. Średniego wzrostu, trochę jak by nieśmiały, niezbyt się może liczący z ludźmi, małowówny, ironiczny. Czoło otwarte, wysokie; włosy ciemne, prawie czarne, falujące; twarz ściągła, oczy ciemne, kryjące się jak gdyby przed światłem, nos grubawy i czarne, gęste brwi prawie złączone nad tym grubym nosem.

Ani brzydki, ani ładny.

Zosia typowa Krakowianka, średniego wzrostu, jak i mąż. Okrągłutka, biała i różowa, ciemna blondynka. Buzia też okrągła, prosty, troszeczkę czubaty nosek, ładnie zarysowane usta; duże, szaro-zielone oczy w oprawie ciemnych rzęs i brwi; czoło szerokie i nieco wypukłe. Bajecznie pulchne małe rączki z wąskimi, różowymi paluszkami. Głos melodyjny, upodobania artystyczne, dobry gust i ogromne zdolności do wszelkich ręcznych robót.

Zawsze lubiłam ją bardzo śledząc z bliska jej flirt i narzeczeństwo i pusto mi było bez niej, gdy wyszła za mąż.

Rozmowa nasza toczyła się początkowo wokół rzeczy zdawkowych jak ich szczęście małżeńskie, urządzenie domu, zajęcia domowe, w których Arnaldo chętnie

nie pomaga Zosi i pracy biurowej, gdyż oboje są urzędnikami.

W trakcie tych rozmów nie zapomniałam o przyjęciu moich miłych gości. Podałam likiery owocowe przyrządzone podług recepty domowej, herbatniki i pier-niczki również domowego wyrobu i przyrządzając kanapki postawiłam wodę na kawę. Wyciągnęłam też listę imion słowiańskich, przyjętych w Polsce dla chłopców i dziewczynek. Powiedziałam, że pierwsze ich dziecko powinno mieć imię polskie, ponieważ Zosia jest czysto polskiej krwi, a Arnaldo po ojcu ma także polską krew, a po matce bardzo mieszana.

Zosia mruknęła z cicha, że jej mąż nie lubi polskich imion, a on oglądając listę i nie mogąc nic przeczytać powiedział szorstko:

— Nie lubię Polaków i mojemu dziecku nie dam polskiego imienia. Patrzę na to co tu napisane i nic nie rozumiem.

Zdziwiłam się słysząc to, oburzyłam i powiedziałam otwarcie jak to ja:

— Ciekawa jestem, Arnaldo, dlaczego ożeniłeś się z dziewczyną czysto polskiego pochodzenia, a i ojciec twój, o ile wiem, albo urodził się w Polsce albo miał rodziców, którzy się w Polsce urodzili. Obraziliś Zosię, całą jej rodzinę i mnie. Jak również ojca.

— To mnie nic nie obchodzi. Moja matka jest Brazylijką i ja jestem Brazylijczykiem. Polacy mnie nie interesują.

Kiedy to usłyszałam zgasła we mnie naraz całą radość z ich wizyty. Zosia była zawstydzona, twarz Arnalda stała się

zacięta, a dziwne spojrzenie jego oczu zrobiło się jeszcze dziwniejsze.

Żal mi było Zosi. Ta śliczna dziewczyna o bardzo zrównoważonym usposobieniu, uprzejma i spokojna miała duże powodzenie u chłopców. Gdyby chciała mogłaby wyjść za mąż znacznie lepiej tak pod względem wykształcenia jak i zamożności. Wybrała Arnaldo, ponieważ go pokochała.

Po chwili głębokiego milczenia podałam gorącą kawę, która zimą w nieogrzanych mieszkaniach brazylijskich zawsze jest dobrze widziana, i kanapki.

Pijąc kawę zwróciłam się do Arnalda:

— Powiedz mi dlaczego nie lubią Polaków ożeniłeś się z Polką? Pytam o to po raz drugi, ponieważ nie mogę tego zrozumieć. Bywasz w domu jej rodziców i wśród jej przyjaciół, mówiących poważnie po polsku, więcej niż trzy lata i jeszcze nie przywiązałeś się do Polaków, chociażby nawet nie żyłeś z nimi. Wydało mi się to dziwne.

Sponad parującej filiżanki z kawą spojrzęły na mnie ponuro ciemne oczy Arnalda. Czarne brwi ponad nimi ściągnęły się i grubawy, czerwony nos jak gdyby jeszcze więcej zgrubiał i zaczerwienił się.

Arnaldo nie odpowiedział; wzruszył tylko chudymi ramionami. Sympatia moja dla niego jakoś wyparowała. Reszta wizyty speliła na wzajemnym chłdzie. Pożegnaliśmy się obojętnie.

Dawniejsza przyjaźń już pewno nie wróci.

HELENA WERPACHOWSKA



Eletromar Indústria Elétrica Brasileira S.A., produz no Estado da Guanabara para todo o Brasil:

Retificadores para todos os processos eletrolíticos.

Equipamento de proteção e controle para indústria.

Completa linha de Iluminação: Pública, Comercial, Industrial; Fluorescente ou Vapor de Mercúrio.

Disjuntores Quicklag e Nofuze para circuitos de luz e força.

Estabilizadores de Voltagem para Televisão e Geladeira.

Ventiladores e circulares de ar.

E mais uma série de 400 produtos diferentes.

...em eletricidade, simbolo de qualidade.



ELETROMAR
INDÚSTRIA ELÉTRICA BRASILEIRA S. A.

SODAN CZY ARRYY?

Upalna niedziela czerwcową zgromadziła na warszawskim Torwarze setki sympatyków i miłośników psów. Nie pojechali nad wodę czy do lasu — poszli oglądać, a niektórzy i wybrać dla siebie milego prawdziwie wiernego przyjaciela.

A było co oglądać i wybierać. Tegoroczna IX Warszawska Wystawa Psów Rasowych zgromadziła 530 psów, należących do 40 ras hodowanych w Polsce. Wystawcami byli hodowcy kwalifikowani i amatorzy, właściciele psów bardzo, bardzo rasowych (z rodowodem do czwartego pokolenia) i właściciele mieszańców, a również psów bez rodowodów, których kondycja fizyczna i psychiczna (tak!) predysponowała do przedstawienia ich sędziom do oceny.

Z daleka już słysząc ujadanie bohaterów tego dnia. Na razie nie podobna rozróżnić pojedynczych głosów (a może raczej szczeków?). Im bliżej kojców z psami i ich właścicielami, tym donośniej słyszeć groźne pomrukiwania i powarukiwania, a niekiedy wręcz ujadanie jakiegoś zdenerwowanego pupila. Kojce ustawione są po obu stronach galerii okalającej trybunę. Wśród gwaru głosów psich i ludzkich rozpoczynamy wędrówkę. I oto pierwsza znajomość: piękny Sodan, owczarek niemiecki już z czerwonym sznurem przy obroży (czerwony sznur — odznaka oceny bardzo dobrej). Sodan należy do klasy psów służbowych. Po zakończeniu tresury będzie pełnił służbę w milicji. Jest młody, silny, a jednocześnie bardzo łagodny i pieszczośliwy. Wzdycham. Zawsze marzyłam o owczarku niemieckim, ale w Warszawie duży pies musiałby dostać chyba dodatkowy metraż w mieszkaniu.

Oto znów chart syberyjski — smukły, o pięknym, długim pysku, lśniącej perłowo-błękitnej sierści. Jest niespokojny. Tyle tu ludzi i tak gorąco. A tam w kojcach — bokserzy. Wywołują one zawsze najwięcej dyskusji, zachwytów i sprzeciwów. Jedni, że piękne i silne, inni, że pomarszczone i wyglądają jak stare. Ale chyba dlatego największy tłum właśnie przy nich. Jedne płowe, jasno orzechowe, inne marengowane. Ale wszystkie na pewno ciekawe. Wiadomo, że są to psy bardzo przyjazne dla otoczenia, niezwykle przywiązane do swoich domowników.

Ponad kojcem na ławce wystają tylko... uszy. Podchodzę bliżej i badam to dziwne zjawisko. Ależ tak! To basset, jedyny przedstawiciel tej rasy na wystawie a może i w Warszawie, przywieziony aż z Anglii, z Houghton. Jest to ogar — jamnik o niewspółmiernie długich uszach. W jednym z kojców urządzono prawie wannę. Troskliwa właścicielka biedzi się, byleby tylko ukochanej Dianie dostarczyć trochę chłodu. Diana to nowofundland — wodołaz. Wielki pies o wzroście 75 cm z gęstą, czarną sierścią, rasa psów, która zdobyła sobie w Polsce wielu sympatyków i spore zainteresowanie hodowców, zdążających stale do polepszenia jakości ras. W tym celu sprowadza się wysokiej klasy szczenięta z Niemiec, które podtrzymują rasowość hodowanych nowofundlandów. Przy swojej okazałej budowie są to psy niesłychanie łagodne i spokojne.

Natomiast prezentujące się obok pudle, eleganckie, pięknie ostrzyżone są

tak towarzyskie, że witają i bawią się chętnie z każdym człowiekiem. Mimo, że nie są to psy bardzo popularne w Polsce, wyniki hodowli stoją na tak wysokim poziomie, że polskie okazy wysyła się do Szwajcarii. Mniej towarzyskie, ale za to również piękne są owczarki niemieckie. Wysyłane przez hodowców polskich na międzynarodowe wystawy osiągają zawsze bardzo dobre oceny. Znaną ze swej inteligencji doskonale nadają się do tresowania na psy obronne i służbowe oraz na przewodników niewidomych. Rasa ogromnie popularna w Polsce. Rzadko jednak spotyka się owczarki niemieckie "czystej krwi". Oto jednak piękny naprawdę rasowy Arry, którego obroży obwieszona jest złotymi medalami. Na tej wystawie oceniony był już w klasie zwycięzców. Czarny, potężny i zły — zajadłe szczeka. Przyjechał z NRF. Czyżby może i jego drażnił język polski? Rewelacją są dogi, potężne jak cielaki. Nagle poruszenie. Jeden z nich zemdłał. Nie wiadomo czy z nadmiernego upału czy może ze wzruszenia. Właścicielka w filuterym kapeluszu biegnie po wodę, aby cucić swego ulubieńca. I już za chwilę dog defiluje przed jury.

Oceny psów dokonuje się na ringu zimowego lodowiska. Rozmieszczono tu kilka punktów sędziowskich. Kryteria oceny są bardzo surowe. Aby pies otrzymał ocenę doskonałą, musi posiadać wszystkie cechy rasowości zbliżone do wzorca. Wady są niedopuszczalne. Przy ocenie bardzo dobrze dopuszcza się nieznaczne błędy, które nie będą stanowiły wad dziedzicznych. Sędziowie oceniają nie tylko rasowość psa, ale i jego cechy

psychiczne. Wystawcy, a w szczególności hodowcy muszą znać i przestrzegać wszystkich zasad prawidłowego wychowu.

Ponieważ wystawa zgromadziła dużo psów, nie sposób oczywiście wymienić tu choćby po jednym przedstawicielu każdej rasy. Jak informuje mnie inż. Z. Lubowidzki, wiceprezes Związku Kynologicznego w Warszawie — hodowane w Polsce buldogi francuskie, maltańczyki, chau-chau osiągnęły wysoki standart i są bardzo poszukiwane na rynkach zagranicznych. Co prawda nie zorganizowano jeszcze ewidencjonowanej formy eksportu, ale z okazji udziału polskich hodowców na wystawach międzynarodowych następuje wymiana rasowych egzemplarzy. I tak wyhodowane w Polsce buldogi francuskie czy maltańczyki zasilały hodowle niemieckie, węgierskie, czeskie. Z innych państw przyjeżdżają do Polski dogi, aier dalterriery czy owczarki niemieckie. IX Warszawska Wystawa Psów Rasowych oprócz charakteru widowiskowego i popularyzacyjnego była pouczającym przeglądem hodowanych rasowych psów w Polsce. Stanowiła poważną okazję do różnych spostrzeżeń dla hodowców, a po jej wysokiej randze niech świadczy fakt, że wystawcami byli m. in. ambasador Austrii i wielu obywateli niemieckich, czeskich, węgierskich.

Opuszczałam wystawę z niespokojnym sercem: owczarek czy chart basset czy buldożek francuski? Zresztą wszystko mi jedno — byle pies.

JADWIGA SUSKA



Wędkarze na jeziorze Trackim na Mazurach.

PRZEGLĄD WAŻNIEJSZYCH WYDARZEŃ

Mówi się w Polsce, że po zimie stulecia przyszła, co prawda z pewnym opóźnieniem (zimny kwiecień), "wiosna stulecia". Tak długotrwałego okresu ciepłej, a nawet gorącej pogody, jaką Polskę obdarzył tegoroczny maj i czerwiec, dawno już tutaj nie było. Po nieurodzajnym ub. roku i ciężkiej zimie będzie więc w Polsce krótki przednówek.

Rołnicy utrzymują, że tegoroczne żniwa rozpoczną się w pierwszej połowie lipca. Ta przepowiednia sprawdziła się już na obszarze kielecczyzny. Rozpoczęły się tam o 15 dni wcześniej żniwa żytnie. Ponieważ nadal jest ciepło żyto szybko dojrzewa toteż należy się spodziewać, że w połowie lipca większość żyta będzie już żęta.

Sprzyjająca pogoda pozwoliła rolnikom na całkowite odrobienie zaległości spowodowanych długotrwałą zimą. We wszystkich województwach na czas obsiano zbożem jarym zaplanowane pod ten siew grunty. We wszystkich też regionach kraju obsiano pola, na których wymarzyli oziminy. Zimny kwiecień

nie przeszkodził w obsadzeniu pól kartoflami.

Zima stulecia pozostawiła za sobą smutne dziedzictwo. Zaopatrzenie miast jest w tym roku znacznie słabsze, niż w roku ubiegłym. Znowu wróciły kolejki po nabiał i mięso. Jak donoszą nasi korespondenci życie w Warszawie stało się bardzo trudne. Panie domu muszą zrywać się o świcie i wystawać godzinami po najniezbędniejsze produkty. Szczególnie dramatycznie przedstawia się sprawa zaopatrzenia w mleko.

Cale szczęście, że warszawiaków nie opuszcza tradycyjny dobry humor. Do utrzymania tego humoru przyczynia się wcale pogoda sprzyjająca urlopom. Według orientacyjnych obliczeń wielkie miasta w ciągu ostatnich dwóch dni czerwca opuściło około 350 tys. osób udając się na letni wypoczynek. Na wybrzeżu morskim panuje nieopisany tłok. W pierwszej połowie lipca temperatura powietrza wahała się tam od 22 do 35 st. C., woda około 18 - 19 stopni.

(as)

DEPEZA KS. PRYMASA Z RZYMU

Ks. Kardynał Wyszyński nadesłał z Rzymu do wszystkich księży biskupów-ordynariuszów w Polsce, na ręce bpa Choromańskiego, sekretarza Episkopatu, depesze następującej treści: Biskup Zygmunt Choromański. Kardynał Montini został wybrany Papieżem dziś o godzinie jedenastej. Przyjął imię Pawła. Przesyłam słowa radości, którą napelni się Kościół w Polsce. Zaraz po przyjęciu wyboru powitałem Ojca Świętego imieniem katolików polskich. Papież odpowiedział po polsku: "Niech żyje Polska". Podczas pierwszego homagium prosiłem Papieża: "Pobłogosław Ojciec Święty Polskę zawsze wierną, którą tak dobrze znasz, na progu świętego Tysiąclecia". Ojciec Święty odpowiedział po polsku: "Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus". Dodał po łacinie: "Zawsze błogosławieństwo Polskę tak mi drogą". Zapewniłem

Ojca Świętego, że Polska polecać będzie Matce Bożej Jasnogórskiej pontyfikat Jego świętobliwości. W czasie drugiego homagium powiedziałem do Ojca Świętego, że imieniem Episkopatu Polski, duchowieństwa i wiernego ludu składam wyrazy hołdu i wierności. Ojciec Święty odpowiedział: "Składam hołd Polsce świętej, zawsze wiernej i tak mi drogiej. Proszę o jedno Zdrowaś Maryja na Jasnej Górze u Matki Bożej Częstochowskiej". Zapewniłem Ojca Świętego, że każdego dnia będzie odprawiona Msza święta na Jasnej Górze w intencji pontyfikatu Jego świętobliwości.

Treść tej depeszy proszę podać ordynariuszom diecezji, których z serca pozdrawiam.

Stefan Kardynał Wyszyński.

PRZEGLĄD PRASY KRAJOWEJ

"Tygodnik Powszechny" z 24 kwietnia ogłosił apel do czytelników wzywając ich do nadesłania relacji, wspomnień i dokumentów dotyczących pomocy udzielonej Żydom przez Polaków w czasie okupacji niemieckiej. Dokumentacja tych faktów może przedstawiać trudności, gdyż wiadomo, że władze hitlerowskie zakazywały wszelkiej pomocy Żydom pod karą śmierci, na skutek czego wszelkie akty

pomocy dokonywane były w najgłębszej tajemnicy. Ten sam numer przynosi relacje ks. Kazimierza Ślupskiego, który w owym czasie był proboszczem parafii Puzniki w woj. stanisławowskim i przechowywał na swej plebanii i uratował od śmierci Żydów: profesora Adolfa Korngüta, aptekarkę Rozalię Bauer oraz dr Seiferta, lekarza z Buczacza. Po wyzwoleniu p. Bauer ofiarowała

ks. Ślupskiemu piękny kielich mszalny, a obecnie mieszkając w Izraelu przysyła regularnie kosz pomarańcz swemu dobroczyńcy. Adolf Korngut jest dyrektorem liceum w Kluczborku.

Podobne akty poświęcenia w obronie prześladowanych Żydów zdarzały się w setkach innych miejscowości. "Tygodnik Powszechny" pragnie je zebrać i przekazać historii zanim zostaną zapomniane.

(sb)

Co Polacy kupują na raty. Jak wynika z podsumowania, podpisano w I kw. br. w placówkach Obsługi Ratalnej Sprzedaży w całym kraju 232 tys. umów kredytowanych na łączną sumę 1.236,4 mld zł. (0 176 mln. zł. więcej niż w analogicznym okresie ub. roku). Przedmiotem największej liczby transakcji były telewizory; zakupiono ich na raty za 350 mln. zł. Następną pozycją — to meble — 265 mln. zł.

Największy wzrost nastąpił w sprzedaży ratalnej motocykli i skuterów oraz zegarków. Z 7 mln. zł w I kw. 1962 r. do 28 mln. zł. w I kw. br. Notuje się też dalszy rozwój ratalnej sprzedaży odzieży. W tej grupie udzielono kredytów na 137,4 mln. zł. (W I kw. ub. r. — 86 mln. zł.).

Zakwitł krzew Mojżesza. W rezerwacie przyrody w Chotlu Czerwonym pow. Busko-Zdrój zakwitł tzw. krzak Mojżesza — dyptam jesienolistny, należący do bardzo rzadkich okazów w Polsce. Dyptam kwitnie przez kilka miesięcy i w okresie upałów jego kwiaty wydzielają olejki eteryczne, które się zapalają — stąd pochodzi pospolita nazwa: gorzący krzak Mojżesza.

Uczta wierzynekowa w Krakowie. W 600-lecie pierwszej uczty Wierzynek w Krakowie odbyło się w znanej krakowskiej restauracji "Pod Wierzyńkiem" przyjęcie, w którym wzięła udział m. in. Zofia Jaroszevska najulubieńsza aktorka Krakowa, Irena Dziedzic — "królowa Telewizji" oraz Maja Wachowiak w towarzystwie męża, Gustawa Holoubka, króla filmu. Przybył autor jednej z najpopularniejszych książek roku "Siedmiu polskich grzechów głównych", płk. Zbigniew Żalusiński. Pojawił się również inż. Płużek, sławny konstruktor sztucznego serca z Poznania. Barbara Krafftówna nie zdążyła przybyć z Cannes na czas. Jan Parandowski wytlumaczył zajęciami swoją nieobecność, epistolę miłą napisał, pozdrowił: "Czołem, Mości Panowie". Na spotkanie przybyli budowniczo- wie nowego Krakowa, aby dostojnym gościom powiedzieć, co też takiego na Rynku się dzieje. Kraków ma nową tradycję: obok "Lajkonika", Rękawki czy Wianków — wierzynekową ucztę dla królów opinii publicznej.

PÓLSŁÓWKA

Z KRAKOWA I RIO DE JANEIRO
pióra **BRUNONA HOFFMANNA**
SATYRY, FRASZKI, HUMORES KI
DO NABYCIA:

RIO DE JANEIRO:

LIVRARIA KOSMOS
ROSÁRIO 135

SÃO PAULO:

LIVRARIA KOSMOS
MARCONI 93

Esporte Universal Ltda.

ARTIGOS PARA TODOS OS ESPORTES

E UNIFORMES PARA COLÉGIOS

Rua Libero Badaró, 356 — TEL.: 37-5660

Caixa Postal, 4413

SÃO PAULO

NIGDY W SOBOTE

Karnawał skończył się, ale wielkich zabaw karnawałowych było w tym roku w Polsce mało, co przypisywano mrozom i słabej ruchliwości organizatorów. A więc — powinno pojawić się coś w rodzaju niżej zainteresowania dla strojów, modnych fryzur, i nowych tańców. Tymczasem nic podobnego: suknie dla pań i ubrania dla panów cieszyły się wielkim powodzeniem, złociste lamy i brokaty szły jak woda, fryzjerzy mieli pełne ręce roboty, kto mógł uczył się twista i madisona i — wszystkie rozrywkowe lokale stolicy notowały szczyt powodzenia. Chyba więc warszawiacy zmienili styl zabawy, wybierając wyraźnie rozrywkę w dobranym małym gronie w lokalu, lub na tak zwanej "prywatce". Wielkie bale cieszą się wprawdzie dość znacznym powodzeniem, ale ustąpiły pierwszeństwa zabawom bardziej kameralnym.

O możliwości takiej zabawy w Warszawie mówi się różnie. Lokali rozrywkowych, w których można potańczyć, zjeść wystawną kolację, oglądać jakiś program jest sporo. Nie słychać więc narzekań, że w stolicy nie ma gdzie "poszaleć". Trochę gorzej jest ze skromniejszą, bardziej natomiast poszukiwaną rozrywką. Byliśmy w teatrze i mamy ochotę porozmawiać, wypić kawę, lampkę wina? Tak, to miłe zakończenie wieczoru, ale o tej porze bardzo trudno znaleźć kawiarenkę, która jest jeszcze czynna, trudno też znaleźć restaurację, zaspokajającą tak skromne wymagania. Stąd uwagi, że Warszawa chodzi spać razem z kurami, że jeśli ktoś chce zażyć uciech "nocnego życia" musi koniecznie wydać dużo pieniędzy i bawić się do upadłego. Wytyka się też stolicy znikomą ilość kawiarni czynnych w nocy, brak nocnych barów, kabaretów czy choćby kin, prowadzących seanse nocne. Czyli — tego wszystkiego, co umożliwia dobrą rozrywkę nie tylko w sobotę i nie tylko w okresie karnawału.

Warszawa ma około pół miliona osób w wieku predystynującym je do zażywania różnych uciech życiowych. Stolica gości też dzień w dzień wiele osób, przybywających do miasta z okazji zajęć służbowych, wizyt rodzinnych czy też dla atrakcji turystycznych, i oczywiście łasych nie tylko na stołeczne imprezy kulturalne, lecz również na uciechy spod znaku muz bardziej płochych. No, a zakochani? Ma ich Warszawa co najmniej kilkadziesiąt tysięcy par, które po kinie lub teatrze długo nie mogą się rozstać. To dla nich tak ważne jest istnienie małych, przytulnych kawiarenek, barów i cichych restauracyjek. Nie tylko zresztą dla nich — większość ludzi wybiera takie właśnie lokale, dużo rzadziej korzystając z lokali wielkich, znanych i — drogiech.

Jako się rzekło, w tym karnawale bawiono się głównie w lokalach nocnych. Gęsto też w kinach, teatrach, kawiarniach posiadających orkiestry i kabarety. Jeśli ktoś chciałby bliżej poznać w tym czasie nocne życie stolicy, lub miał ochotę po prostu zabawić się wieczorem, to — nigdy w sobotę. Odrzwa restauracji i kawiarni w sobotnie wieczory z reguły ozdobione były tabliczkami z napisem "miejsce brak", oraz patrolowane czujnie przez wytrwałych amatorów karnawałowych rozrywek. Często widziało się takie pilnowanie drzwi z niecierpliwą nadzieją, że może ktoś wcześniej opuści lokal i zwolni miejsce. Panowie perswadowali portierowi: "ja tylko do baru", a panie usiłowały zdobyć zrozumienie odźwiernych przytupując nożkami w leciutkich pantofelkach. Wiele osób wędrowało w sobotnie wieczory od lokalu do lokalu, wiele wracało do domów z przekonaniem, że już nigdy w sobotę. W soboty miejsce brak było wszędzie, o tym więc jak się rozerwać w karnawałowy wieczór trzeba było myśleć wcześniej. Improwizacja zupełnie zawodziła. A pomysły pójścia po teatrze na smaczną kolację, małą wódkę lub jeden taniec — z reguły kończył się fiaskiem.

A więc — do kawiarni "Pod gwiazdami" wybraliśmy się w zupełnie zwykły dzień, wcale nie pachnący niedzielą. Kawiarnia ta czynna jest dopiero od dwóch lat i mieści się na ósmym piętrze domu przy zbiegu Marszałkowskiej i Hożej. Gospodarzem kawiarni jest Julian Sztatler, znany i lubiany piosenkarz. Początkowo "Pod gwiazdami" bywało mnóstwo osób w średnim wieku, które to towarzystwo przyciągał przede wszystkim repertuar Sztatlera, śpiewającego co wieczór stare, przedwojenne szlagiery. Bawiono się tu wspaniale, łączyły się w niejednych oczach i każdy miał ochotę śpiewać. Kawiarenka słynęła więc z tego, że każdy przygodny gość może tu powspominać dawne czasy, nasłuchiwać się dawnych melodii i wyśpiewać do woli.

Bardzo to było miłe, ale — nie starczyło na długo. Renesans przedwojennych przebojów skończył się i "Pod gwiazdami" napłynęła nowa publiczność — ludzie młodzi i bardzo młodzi. Kawiarnia Sztatlera zaczęła pozwolić stawać się kuźnią młodych talentów piosenkarskich. Właściwie — każdy może tu przyjść i zaśpiewać. Tym razem inaczej — na estradzie, sam przed publicznością, z akompaniamentem fortepianu, jak prawdziwy piosenkarz. Bardzo to się podoba, zwłaszcza młodym dziewczynom i chłopcom, którzy zyskują tu prawdziwą szansę: poddania swych talentów i umiejętności takiej próbie jak ocena Sztatlera, przybywających tu znawców, reżyserów i publiczności. Wybrani spośród nich młodzi piosenkarze otrzymują potem od "Pagartu" miesięczne stypendia, umożliwiające kształcenie się w śpiewie, za co zobowiązani są do pewnej ilości publicznych występów w kawiarni.

Kawiarnia "Pod gwiazdami" mieści się w dwóch niewielkich pokojach. Przytulnie tu, przyjemnie, czasami naprawdę zabawnie, a często po prostu wesoło. Pije się niewiele, esortyment przekąsek też nie jest zbyt obfity, ale lokalik ma swój własny, zupełnie odrębny styl i urok. Małutki bar chroni samotnych i zakochanych, goście w salkach często bawią się razem, powtarzając chórem refreny starych i nowych piosenek.

Tak, ale o pierwszej w nocy zabawa kończy się i kto chce dalej szaleć, musi szukać nowej przystani. Dobrze, że to nie sobota, można więc spróbować pójść do "Grandu", do "Bristolu", do "Kongresowej" lub "Kameralnej".

REGINA GODLEWSKA



Gdańsk — Dwór Artusa i Studnia Neptuna.

Sygnały z Wenus odebrali uczeni radzieccy

W słynnym astronomicznym obserwatorium radzieckim w Pulkowie pod Leningradem uczeni odebrali przy pomocy radioteleskopu sygnały radiowe z Wenus na falach długości 3 cm.

Astronomowie mają nadzieję, że analiza zarejestrowanych sygnałów pozwoli ustalić, czy pochodzą one z różnych warstw atmosferycznych Wenus, czy też z kontynentalnej powierzchni tej planety.

PRZEGLĄD POLSKI INFORMUJE:

Ceny w Polsce. — Konfekcja damska: płaszcze damskie na watołinie — 900 zł w kolorze zielono-czarnym, także popielate — 1660 zł, mohairowe w różnych kolorach bez z czarnym włosiem — 2060 zł, bouclé — 1900 zł, z grubej tkaniny przypominającej frotté — 2540 zł, z anilany tzw. misie — 2200 zł. Bluzki — 360 zł, swetry - kamizelki — 270 zł. Dziewczęce płaszcze popelinowe na grubej podszewce — 890 zł, w kratkę beżowo-białą i granatowo-białą z lamówkami — 940 zł. Konfekcja męska: jesionki szare — 360 zł; płaszcze popelinowe z podpinką — 900 zł, z bawełnianego rypsu, podbite tzw. misiem — 1300 zł, sportowe na watołinie — 1880 zł. Spodnie drelchowe — 122 zł, z elany — 540 i 660 zł. Koszule z krótkimi rękawami — 85 zł, popelinowe (wdzianka) — 134 i 170 zł. Galanteria: szalik męskie jugosłowiańskie z miękkiej wełny w kratę — 140 zł, jednokolorowe — 100 zł, damskie mohairowe — 250 i 270 zł (duże). Apaszk męskie jedwabne — 195 zł, ze sztucznego jedwabiu — 29 zł. Krawaty poliestrowe — 72 zł, rękawiczki damskie nieskórzane — krajowe 45 zł i zagraniczne — 75 zł.

Zatrudnienie w gospodarce prywatnej. Gospodarka prywatna obejmuje w Polsce 136 tys. zakładów, zatrudniających 225 tys. osób. Przemysł prywatny liczy 7500 zakładów, w tym przemysł młynarski — 3200. Przemysł ten zatrudnia łącznie zaledwie 20500 osób. W rzemiośle największy potencjał reprezentuje branża metalowa, następnie — odzieżowa, skórzana i drzewna. Obserwuje się silny wzrost rzemiosł budowlanych przy spadku rzemiosł skórzanego i odzieżowych.

13 tys. km nowych dróg wybudowano w Polsce. W okresie 1945-61 wybudowano w kraju ogółem 12.721 km nowych dróg. Zmodernizowano nawierzchnie na drogach o długości 24.388 km. Gęstość sieci dróg twardych na 100 km kw. powierzchni kraju wzrosła z 30,8 na 34,2 km, ale Polska wciąż jeszcze pozostaje znacznie w tyle za państwami zachodnimi zarówno pod względem liczby kilometrów dróg twardych przypadających na 100 km powierzchni, jak i pod względem procentu dróg o nawierzchni nowoczesnej.

Polska potentatem mlecznym. W produkcji mleka Polska stanowi prawdziwą potęgę. Produkcję ok. 13 miliardów litrów mleka rocznie Polska zajmuje piąte miejsce w świecie. Wartość tej produkcji wynosi ok. 30 miliardów zł czyli mniej więcej tyle ile wartość rocznej produkcji węgla.

Może oświetlić półmilionowe miasto. We Wrocławiu zakończono próby największego dotychczas polskiego turbogeneratorskiego 125 MW. Agregat ten, który ma pracować w elektrowni "Konin", budowany był ok. 2,5 roku, waży 263 tony i mógłby dostarczyć energię elektryczną półmilionowemu miastu.

Zagłębie cynkowe w krakowskim. Złote i eksploatacyjne przed tysiącami lat pokłady metali nieżelaznych w olkuskim rejonie na nowo karierę. Przed wojennymi właścicielami kopalni uznali je za wyeksploatowane. Poczynione w ostatnich latach głębokie wiercenia wykazały, że znajdują się tu jednak nadal bogate złoża rud cynkowych. W niedalekiej przyszłości na ziemi krakowskiej wydobywać się będzie większość polskiej rudy cynkowej.

Tajemnicza korona. W czasie remontu na Wawelu znaleziono tajemniczą koronę z wielkim brylantem oraz sześcioma wspaniałymi rubinami. Połączona grubo korona oraz inkrustowane w niej klejnoty znajdowały się pod gołym niebem, zupełnie nie strzeżone, o parę metrów nad ziemią, wśród elementów zdobniczych kaplicy Zygmuntowskiej. Historia autentycznego, niezwykle cennego 10-

karatowego brylantu oraz pięknych, krwawych rubinów jest jak najbardziej tajemnicza. W żadnych spisach inwentarza na Wawelu nie figurują zapiski ani o koronie, ani o jej klejnotach. Znajdowała się ona nad głową orła, zdobiącego fronton kaplicy. Zupełnie identyczny orzeł, również z koroną, lecz bez klejnotów, jest wewnątrz, nad sarkofagiem Anny Jagiellonki. Uczniowie próbują rozwiązać zagadkową historię korony.

Zmumifikowany SS-mann w dziupli topoli. Przy wycinaniu starych przydrożnych drzew topolowych rosnących wzdłuż szosy Warszawa - Brześć w rejonie Międzyrzecza Podlaskiego dokonano makabrycznego odkrycia.

Po ścięciu bardzo starej, grubej topoli, robotnicy zauważyli, że między konarami, u wylotu szerokiej dziupli znajduje się wrośnięta w korę wojskowa lornetka polowa. Gdy zajrzano do wnętrza dziupli odkryto tam zmumifikowane zwłoki SS-manna. Istnieje przypuszczenie, że żołnierz ten pełnił funkcję obserwatora artyleryjskiego i albo został trafiony albo też przez nieuwagę obsunął się do głębokiej na kilka metrów starej dziupli. Nie mogąc się wydostać zmarł tam z głodu. Do dziś zachowały się w dobrym stanie ss-mańska czapka, mundur, buty i lornetka. Zwłoki hitlerowca zostały pochowane.

Sum olbrzym w wędcie. Wędkarz Jerzy Ciupa złowił w Regalicy przy pomocy zwykłej wędkę olbrzymiego suma o długości 170 centymetrów. Wyciągnięcie tego olbrzymia wymagało 4 godzin zmagania.

P. ADAM ZACHWIEJA, ul. Szalaya 48, Szczawica, Polska jest zapalonym filatelistą. P. Zachwieja pragnie nawiązać korespondencję i wymieniać znaczki pocztowe z rodakami z Ameryki. Zna język niemiecki i angielski.

DR STANISŁAW BUNDYRA

Jedyny adwokat polski w São Paulo

Załatwia wszystkie sprawy cywilne, handlowe i pracownicze, jak: inwentarze, mieszkaniowe, upadłościowe itp. — **BIURO: Rua Senador Feijó, 29 4 p. s.**

417 (obok Katedry) tel.: 35-6521.

PRZYJMUJE OD 13 DO 19 GODZINY.

DR SAMUEL LEWKOWICZ

Absolwent wydziału medycyny w Paryżu (Sorbona) i w Brazylii, Lekarz Stowarzyszenia Pracowników Instytucji Publicznych stanu São Paulo. —

Lekarz I. A. P. I.

Radioskopia, Elektroterapia —

Klinika dla dorosłych i dzieci.

MÓWI SIĘ PO POLSKU —

ON PARLE FRANÇAIS.

Rua Prates, 39, apt. 31 — Od 15,30

do 19,30 — Tel.: 36-8469. — Mieszkanie: Rua Prates, 209, apt. 71 —

Tel.: 36-8469. Rua Formosa, 376,

16.º — Od 10,00 do 11,50 — Tel.: 32-3847.

PASSAGENS AÉREAS O U MARÍTIMAS A PRAZO

Para qualquer parte do
BRASIL
e do
MUNDO
PELA COMPANHIA DE SUA
PREFERÊNCIA.

Vendas e Informações:

Agência Geral

"TOUR-BRASIL"

Avenida Ipiranga, 1129

Telefones:

37-8671

36-5402

36-1740

**PREPARAMOS A
DOCUMENTAÇÃO.**

MIRVAINÉ

Importação Ltda.

Rua Cons. Crispiniano, 379

7.º Andar — Sala 701

Telefone: 35-3846

SÃO PAULO



Aleksandra Piątkowska zdobywczyni I miejsca
w VI mistrzostwach Polski w gimnastyce
artystycznej.



Alina Janowska i Czesław Wollejko w nowym filmie polskim
reżyserii L. Buczkowskiego p. t. "Smarkula".



Dziecięcy konkurs rysowania na asfalcie
w Nowej Hucie.



Egzaminy maturalne. Kominiarz przyniesie na pewno szczęście
uczniom szkoły im. Dobiszewskiego w Warszawie.

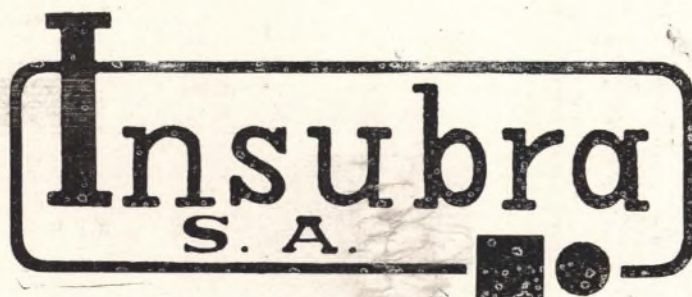
RESIL S.A.

INDÚSTRIA E COMÉRCIO

RUA MARTIM BURCHARD 254

FONES: 93-5050 - 92-2498

**CARCASSAS DE MOLAS DE AÇO
PARA VEÍCULOS MOTORIZADOS**



A MAIS COMPLETA LINHA DE TÓDAS AS MÁQUINAS PARA SEU ESCRITÓRIO

Distribuidores exclusivos no Brasil das seguintes marcas:

ADLER — máquinas de escrever e de contabilidade

EVEREST — máquinas de escrever e somar, de calcular e de contabilidade

ROTO-CENTO-PRINTO — duplicadores e mimeógrafos a álcool, tinta e processos heliográficos

CITOGRAPH — equipamentos de endereçar e organização

ORMIG — máquinas de racionalização e organização de trabalho

DIEHL — máquinas de calcular superautomáticas

POSTALIA — máquinas para franquiar correspondência e selos fiscais.

São Paulo: — rua Vitória, 302/4, fone: 37-3171

Rio de Janeiro: — Av. Rio Branco, 138, 14.º, fone: 22-6663 e 22-9880

Pôrto Alegre: — Praça Rui Barbosa, 220 Ed. Tannhauser 2.º, fone: 8323

DISTRIBUIDORES AUTORIZADOS NAS OUTRAS CAPITAIS DO PAÍS.

Tricot-lã

sweater
original

